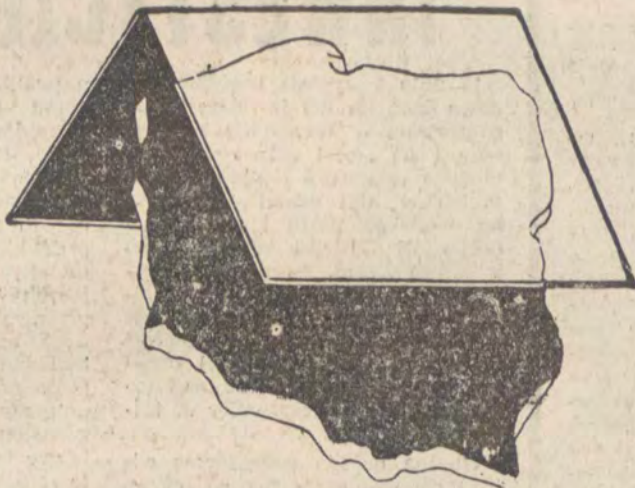




11 Rok XVI
(800)

CENA 1.50ZŁ

18.3.73



NASZE MIESZKANIA

(Czytaj na str. 6)

ODGŁOSY

TYGODNIK SPOŁECZNO • KULTURALNY

GRANDBOLOGIA (II)

ANDRZEJ
MAKOWIECKI

Godzinie drugiej w „Grandzie” rozpoczyna się pora odpływu. Nie ma już Krępego Bola, poczapły do domu kumoszki, panny wyruszyły chmarą do salonów kosmetycznych, kombinatory w pstrokatych krawatach przenieśli się do „Malinowej”, a waluciarze do „Hal-ki”, i jedynie kilku przywaciarzy przeciąga jeszcze południową sjęstę.

RAPORT NIEOBECNYCH

Próba dialogu:

— Dołar leci.
— W Polsce nie polecł.
— A jak było w sześćdziesiątym dziewiątym? Sto trzydzieści, sto czterdzieści, dwudziestki to nawet po trzy. I nagle ta obsuwa...
— Nie mój kłopot.
— I nie mój. Ale przypominaj sobie... Na Wybrzeżu mówili: przeczekamy; dwa, trzy miesiące i znowu będzie dobrze; a tu wyszli na ulicę chłopci, emeryci, różne panusie, co dostają paezki... Zaczęli zbijać kurs...
— Teraz nie zbija.
— Jak to nie!
— Chłopaki zacynkowali frajerów.
— Człowieku! Wczoraj na Kościuszki jakaś idiotka spuszczała dziesiątki po osiemset.
— Może zrobimy spacer?
— Proszę bardzo.
Przywaciarze minęli się w drzwiach z macherem estradowym. Macher miał kamienną twarz pokerzysty, któremu absolutnie nie zależy na reklamie. Zostawił w szatni kapelusz i biały, utyłany kożuch, jednakże teczkę zabrał ze sobą do

stojika, gdzie czekał już na niego znany z radia i telewizji bigbeatowszczyk. Z początku rozmawiali zduszonym szeptem, pochylając się nad stertą wyciągniętych z teczek rachunków, lecz później macher zdołał się trochę odprężyć i dał folę swoim najskrytszym marzeniom:
— Ty musisz, Januszk, zrozumieć, że długie klaczska oraz brody i bakł na nikogo już nie działają. Popatrz sobie, każdy grój tak chodzi. A my, Januszk, powinniśmy szukać rozwiązań oryginalnych, szokujących...
— Pan nam sprowadzi z Eneretu te wzmacniacze — wtrącił osowiały bigbeacista.

— Dobrze, Januszk, ale mnie nie idzie o muzykę. Wy i tak głośno gracie i wcale nie musicie grać lepiej, natomiast z pewnością należy przedsięwziąć radykalne kroki w zakresie uczesania i ubiorów. I wiesz, co ja myślę? Powinniście ostrzyć się na pałę i wystąpić tak w telewizji. Ty zrozumi, Januszk, jaki kontrast! Wszyscy włosy do pasa, a wy z gołymi glacami

ładujecie ten sng podhalański. Totalny szoking!

— Ja wiem, że pan jest bardzo inteligentnym człowiekiem, panie kierowniku — wtrącił znowu bigbeacista. — Ale ja się nie pozwolę obsmyczyć do skóry.
— Nie musisz, Ja wam wykombinuje z filmu lyse peruki.

— Wowo i Juryj nie włożą.

— Posłuchaj mnie, Januszk, bo ja chcę dla ciebie jak ojciec. Wowo to jest imbecyl i podobnie rzecz się ma z Juryjem. Nie nadają się na prekursorów. Ale ty bądź mądrzejszy. Jak ten pomysł zassa, cały świat obciacha kłaki, a ty będziesz ten pierwszy, zupełnie jak ten od Beatlesów, no... Limon, co to kiedyś zapoczątkował erę obfitego owłosienia.

— Pan kierownik mówi o Johnie Lennie?

— To się, Januszk, wymawia poprawnie Dżon Limon. Melduje ci, że zrobisz karierę. Wiesz, tobie się zdaje, że lysemu trudniej o szczęście w miłości, ale jak to zassa, sam zobaczysz, ile będziesz miał dziewcząt.

— Słuchałem tego z osłupieniem, a później ze strachem, bo przecież w oczach bigbeacisty pojawił się błysk zrozumienia. Niebawem jednak przykuli moją uwagę inni ludzie...

Oto wymuskany, spryskany od spicem, wieczny student, który w dniach „stypendialnych” krąży po akademikach z talią poznaczonych kart, uwalniając najwinników od ciężaru pieniędzy.

Oto para gwalcicieli, którzy kilka lat temu wyszli z więzienia, i teraz, ho, ho! — w szybkim tempie nabierają rozumu, przechodząc w „Grandzie” proces tak zwanej resocjalizacji.

Oto książę oszustów, o którym pisali już kiedyś „Odgłosy”. Nic się w zasadzie nie zmienił. Zwalisty, czarny, posepny — stoi w wejściu i miecie wzrokiem po sali. Nadal wcieli się przy każdej okazji w sławnych aktorów, dziennikarzy, rajdowców i reżyserów. Jest bez wątpienia najbezczelniejszym facetem w Łodzi. Nabrał już na swoją niebывалą pewność siebie nie tylko kilkaset głupich kawiarnianych geńsi, ale również wielu prawdziwych artystów, którzy przyjmowali z pokorą oferowane przez hochsztaplera rolę w filmie, w teatrze, w głośnych zagranicznych widowiskach rewiowych.

Próba dialogu:

— Podobno podpisał z nim kontrakt Stepanowski.

— Z kim?

— Z tym małpizsonem, co stoi przy drzwiach.

— Ja w to nie wierzę. Przecież z Jaremy jest kawał warszawskiego cwaniaka.

— Na niego nie ma cwaniaka. Nawet w Warszawie Wszedł na plan i zaczął wydawać ekipie rozkazy. Faceci zgłupieli, ale potem przyszedł Jarema, więc u-

Publikowany poniżej fragment wspomnień A. Mikojana pochodzi z tomu jego pamiętników „Szlakiem walki”. Autor pracował wtedy w Niżnim Nowogrodzie, gdzie skierowano go latem 1920 roku.

W lutym na posiedzeniu Komitetu Gubernialnego omawialiśmy trudną sytuację, jaka powstała w organizacji partyjnej Niżniego. W dyskusji głos zabrał przewodniczący Gubernialnej Rady Wykonawczej Chanow oskarżając Biuro Organizacyjne KC o „niewłaściwy stosunek” do Komitetu w Niżnim i zaproponował, by wystąpić do Biura Politycznego z prośbą o interwencję, o położenie kresu „nienormalnym” stosunkom panującym w Komitecie Gubernialnym i w Biurze Organizacyjnym KC. Zdaniem Chanowa, niektórzy członkowie Biura Organizacyjnego byli osobiście odpowiedzialni za „niesnaski” jakie występują w Kom. Gubernialnym. Ponieważ zbliża się termin Gubernialnej Konferencji Partyjnej Komitet Centralny powinien delegować do Niżniego kogoś ze swych członków celem przeprowadzenia tej konferencji. Wniosek Chanowa poparł Zechanowa oświadczając jednocześnie, że Biuro Organizacyjne KC niesłusznie i wbrew potrzebom zabiera z Niżniego wartościowych działaczy posyłając ich do innych miast, a tutaj kieruje dużo gorszych.

Podczas dyskusji wysunęto wniosek, aby na rozmowy w KC delegować mnie i Chanowa, jako przedstawicieli dwóch „skrajnych linii” w Komitecie Gubernialnym.

Nie wyraziłem zgody na tę propozycję i powiedziałem, że wystarczy jak zwykle przesać do KC protokoły naszych posiedzeń, w których znajdują odbicie istniejące różnice zdań, zaznaczyłem jednak, że o ile Komitet wyrazi zgodę gotów jestem pojechać z Chanowem do Moskwy, ale z konkretną propozycją — z prośbą o przysłanie do Niżniego nowych towarzyszy na stanowiska przewodniczącego Rady Wykonawczej i pierwszego sekretarza Komitetu Gubernialnego.

ANASTAS MIKOJAN

POLITYCZNA DYSKUSJA

Większość członków Komitetu nie wyraziła zgody na moją propozycję i wniosek o interwencję w KC upadł. Zresztą za kilka dni miała się odbyć nasza kolejna Gubernialna Konferencja Partyjna, dostatecznie kompetentna, by przeanalizować wszystkie nabolące problemy i powziąć wiążące decyzje.

Wydaje mi się, że szczególną „pasję” Chanowa i niektórych innych członków Kom. Gub. wzbudzał fakt, iż w pierwszych dniach lutego przybył do nas na polecenie KC tow. Ter (Ter-Jegizarian). Delegowano go do pracy w prezydium Gubernialnej Rady Wykonawczej. Jego przyjazd był absolutną niespodzianką dla nas wszystkich. Nikt z Kom. Gub. nie prosił KC o skierowanie go do nas. Ja sam po raz pierwszy usłyszałem takie nazwisko i oczywiście ciekaw byłem co to za człowiek.

Ter mówił, że był przewodniczącym Orłowskiej Rady Wykonawczej, lecz niedawno KC odwołał go stamtąd i skierował do nas, do Niżniego. W aparacie KC powiedział mu, że po odwołaniu Molotowa, stanowisko przewodniczącego w Niżnim miał objąć Zalucki. Ponieważ jednak Zalucki kategorycznie odmówił wyjazdu, KC zaproponował to stanowisko Terowi, gdyż zdaniem Biura Organizacyjnego KC Chanow nie dawał sobie rady z kierowaniem pracą Gubernialnej Rady Wykonawczej.

W 12 (801) JUBILEUSZOWYM NUMERZE „ODGŁOSÓW”:

- ♦ reportaże: KAROLA BADZIAKA, RYSZARDA BINKOWSKIEGO, ANDRZEJA GRUNA i ANDRZEJA MAKOWIECKIEGO,
 - ♦ rozmowa z naukowcem WŁODZIMIERZA STOKOWSKIEGO,
 - ♦ publicystyka: MARKA WAWRZKIEWICZA i LUCJUSZA WŁODKOWSKIEGO,
 - ♦ wiersze: KONRADA FREJDLICHA i JERZEGO WILMAŃSKIEGO,
 - ♦ proza: JERZEGO WAWRZAKA,
 - ♦ felieton sportowy BOGDY MADEJ,
- Poza tym — komiks, „Odgłosy” sprzed 15 lat, felietony i wyniki plebiscytu na „ŁODZIAN — 1972”.

Dalszy ciąg na str. 6

(Dalszy ciąg na str. 4)

INWESTYJCJE, BUDOWNICTWO

W dniu 5 stycznia partynjo-rządowa komisja d/s inwestycji zorganizowała w Warszawie krajową naradę na temat aktualnych problemów inwestycji i budownictwa. Wzięli w niej udział członkowie kierownictwa partii i rządu oraz blisko 500 działaczy gospodarczych z całego kraju. Obradami kierował premier P. Jaroszewicz, który również wygłosił przemówienie wprowadzające i dokonał podsumowania dyskusji w której udział wzięło 16 mówców. Zasadniczy referat wygłosił wicepremier J. Miłtręga.

Obecna narada gospodarcza odbyła się w niecały rok po pierwszym spotkaniu o podobnym charakterze. Podjęte wówczas ustalenia i decyzje pozwoliły na osiągnięcie wielu sukcesów w ubiegłym roku, co w rezultacie przyniosło przekroczenie zadań planowych na wielu odcinkach frontu inwestycyjnego. Jednakże obok sukcesów istnieje nadal wiele niedostatków i uchybień w realizacji procesów inwestycyjnych, a przede wszystkim opóźnienie szeregu inwestycji. Są to w zasadzie mniejsze inwestycje, ale nie mniej ważne dla harmonijnego rozwoju społeczno-gospodarczego kraju.

Rok 1972 był dobrym rokiem dla budownictwa. Ludność otrzymała prawie 150 tys. mieszkań, o 7 tys. więcej niż planowano. Przekazano do eksploatacji terminowo w zasadzie wszystkie kluczowe inwestycje. Dzięki wzrostowi wydajności pracy w przedsiębiorstwach budowlano-montażowych osiągnięto tempo wzrostu inwestycji (23 proc. w stosunku do roku 1971) do tej pory nienotowane.

Ta dobra sytuacja wyjściowa

pozwoliła zwiększyć w br. zadania planu inwestycyjnego o przeszło 37 mld zł. Podobnie jak w innych dziedzinach gospodarki nastąpiła korekta planu w górę z czym w w przeszłości spotykaliśmy się bardzo rzadko. Tegoroczny plan przewiduje „zielone światło” dla inwestycji przemysłowych wytwarzających artykuły konsumpcyjne, przemysłu maszynowego, chemicznego, materiałów budowlanych i budownictwa mieszkaniowego. Te preferencje wynikają zarówno z potrzeby równomiernego rozwoju gospodarki, jak i troski o jak najlepsze zaspokojenie potrzeb społeczeństwa. Przewiduje się więc oddanie 150 kluczowych inwestycji o dużym znaczeniu gospodarczym, jak również 14 tys. mieszkań więcej niż wynika to z ustaleń planu 5-letniego.

Chcąc w pełni wykonać tak ambitne plany trzeba zasadniczo skrócić cykl inwestycyjny. Zasadniczo, bo jak wyliczono, skrócenie cyklu budowy dla zakładów produkcyjnych musi wynosić ok. 24 proc., dla budownictwa ogólnego — ok. 18 proc. Jesteśmy więc — jak powiedział wicepremier Miłtręga — dopiero na początku drogi w usprawnianiu procesu inwestycyjnego.

Niemniej ważną sprawą jest terminowe osiąganie zdolności produkcyjnych przez nowo wybudowane lub modernizowane zakłady. W latach 71—72 opóźnienia w dochodzeniu do pełnych mocy produkcyjnych spowodowały straty 12 mld zł. Nie stać nas na ponoszenie takich wysokich strat. Rząd podjął odpowiednie środki ekonomiczne i organizacyjne, by w przyszłości nie dopuścić do po-

dobnej sytuacji. Podjęto również decyzje o specjalnych nagrodach dla załóg za uzyskiwanie dobrych wyników w tej dziedzinie.

Istotne znaczenie dla ograniczenia i tak już szerokiego frontu inwestycyjnego ma decyzja wstrzymania do końca I półrocza br. rozpatrywania dodatkowych wniosków o wprowadzenie do planu 73 roku nowych zadań inwestycyjnych. W celu przeciwdziałania nadmiernym tendencjom do budownictwa kubaturowego na rzecz inwestycji typu modernizacyjnego, zdecydowano, że połowa środków przeznaczonych na budownictwo kubaturowym przeznaczona będzie na rozszerzenie budownictwa mieszkaniowego i socjalnego. Będzie to na pewno istotna zachęta dla przeprowadzenia wnikliwej weryfikacji dotychczasowych planów.

W wyniku narady, która miała rzeczywiste rezerwy charakter, żywą atmosferę (np. zabierające głos odpowiadali bezpośrednio na pytania z sali) powstanie lista zagadnień, jakie powinny być rozwiązane w celu likwidacji istniejących jeszcze słabości w systemie inwestycyjno-budowlanym. Generalny program działania przygotowuje komisja partynjo-rządowa. Najlepsze, sprawdzone już w praktyce usprawnienia w budownictwie zostaną szeroko upowszechnione. Zapowiedziano też spreycowanie osobistej odpowiedzialności ludzi kierujących procesami inwestycyjnymi. W całokształcie podjętych, racjonalnych działań jest to problem o nie mniejszym znaczeniu.

J. ŻAK

M. RODAK

W. ŚLAWSKI

ODGŁOSY

Bardzo lubię marynowane śliwki. Ucieszyłem się niezwykłe, gdy zobaczyłem je na sklepowej półce. Kupiłem, a stwierdziwszy, że są smaczne, sprawdziłem, kto jest autorem marynaty. Okazało się, że „RSOP w Zwoleniu — Eksportowa Przetwórnia Owoców Warzywna w Zwoleniu”. Zaskoczyło mnie to i zastanowiło.

O twórczej roli eksportu powiedziano już wystarczająco dużo. Wiemy więc, że odgrywa rolę inspirującą, zmusza do szukania nowych rozwiązań, podnoszenia jakości, skłania wytwórców do pomysłowości. Powiedzieliśmy już również i to, że wysoka jakość towarów produkowanych dla odbiorców zagranicznych pociąga za sobą wysoką jakość wyrobów dla odbiorcy krajowego. A przecież ciągle jeszcze zdarza się, że eksportowe odrzuty odstawiają różnicę poziomu między tym, co produkujemy dla siebie i tym, co produkujemy dla innych. Wniosek: nie zawsze i nie wszędzie produkt eksportowy odgrywa twórczą rolę. Zdarza się jeszcze „eksportowe przetwórczość” zamiast wysokiej jakości całej produkcji.

A dzieje się tak dlatego, że zagraniczny klient potrafi w przypadku złej jakości odmówić przyjęcia całej partii zamówionego towaru. Klient krajowy musi być mniej wybredny. On może wybrzydnąć dopiero w sklepie i albo kupić najgorszej jakości towar, albo odejść ze sklepu z kwitkiem. Jego interesy przed wytwórcą reprezentuje handlowiec, który w swoim postępowaniu kieruje się różnymi za-

świadczeni, ale dość jeszcze rzadko świadomością tego, czego na rynku szuka i czego chce kupujący. Badanie rynku — to ciągle jeszcze ledwie brzmiały postulat.

Produkcja na eksport ma również i wtedy sens, kiedy jest dobrze sprzedawana. Ale, aby sprzedawać towar własny, trzeba też kupować obce. I tu również zdarzają się rzeczy dziwne. Przedsiębiorstwa handlu zagranicznego kupują niekiedy takie towary, których nie brakuje w kraju i których produkcję dobrze opanował krajowy wytwórca. Import — i na ten temat powiedziano już dostatecznie wiele — podobnie jak eksport powinien działać pobudzająco na krajowych producentów. A kupowanie tego, czego sami mamy sporo nie spełnia tej roli. Przeciwnie. Powoduje pęcznienie magazynów. Wystarczy zajrzeć do składów Centrali Tekstylno-Odziewkowej, aby przekonać się o tym. Zresztą nie tylko do składów tej jednej centrali.

Dziś, kiedy coraz skutecznie porządkujemy naszą gospodarkę, czas uważnie spojrzeć na sprawy eksportu i importu. Zamiast tworzyć „eksportowe przetwórczość” zająć się doskonaleniem poziomu całej produkcji.

Niech poziom tego, co robimy dla innych nie odbiega od poziomu tego, co robimy dla siebie. Tylko wtedy eksport odegra swoją twórczą rolę. Jeśli będzie też decydował o tym, co otrzymuje krajowy odbiorca, jeśli producent będzie dążył do rozwijania eksportu, bo może pochwalić się dobrą jakością całej swojej produkcji.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

CZAS

Pojęcie czasu jest względne, ale nie aż tak bardzo, aby go marnować. A u nas czas nadal nie jest w cenie. Nie szanujemy czasu ani swego, ani cudzego. Nie szanujemy go ani prywatnie, ani zawodowo. Punktualność i dokładność nie jest cechą narodową Polaków. Kiedyś „kwadrans akademicki” rozgrzeszało wszelkie spóźnienie. Dziś czasem trudno mówić nawet o kwadransie. Dziś, kiedy gdzieś się wybieramy, to z góry zakładamy, że i tak nie rozpocznie się punktualnie.

Nie chcę odwoływać się do starej maksymy, że „czas to pieniądz”, choć

nie przypuszczam, aby straciła ona swoją aktualność i w naszych warunkach. Myślę jednak, że dziś trzeba coraz skuteczniej utrzymywać przekonanie, że czas jest naszym wspólnym dobrem, że musimy nauczyć się właściwie go wykorzystywać. A z tym przecież — jak wszyscy dobrze wiemy — nie jest najlepiej.

Tracimy przede wszystkim czas na wszelkich naradach i konferencjach. Nie dlatego, tylko że niektóre z nich są zbędne, bo organizatorzy podeszli do nich zbyt formalistycznie, bo nie uświadomili sobie celu, jaki chcą przez te posiedzenia osiągnąć. Ale również i dlatego, że panuje tam gwałtowność, pustostwo, oratorskie popisy w najgorszym sensie tego określenia. Każdy kto zabiera głos, pragnie

wykorzystać tę okazję, aby popisać się, co to myślny zrobił. A przecież najczęściej nie o to chodzi. Sprawozdawczość zajmuje się GUS i inne do tego specjalnie powołane komórki różnych instytucji, choć i tu wiele jeszcze można zrobić dla właściwego wykorzystania czasu. Czy wszystko, co pisze się i oblicza zawsze czemuś służy? Czy wszystko, co się czyta i analizuje? Mam co do tego poważne wątpliwości i nie ja jeden tylko.

Tracimy też czas biegając po urzędach za różnymi papierkami. Miałem już nie raz okazję wyrazić pogląd, że każdy z nas, kto skończył 18 rok życia, posiada pod stałymi dokumentami, jakimś jest dowód, osobisty. Ten dokument powinien mu służyć przy zalanowaniu wielu formalności. I dąży się do tego, ale nie bez pewnych oporów. Nadal bowiem wiele instytucji domaga się przeróżnych zaświadczeń, nieraz potrzebnych tylko z formalnego punktu widzenia. A sposób zdobywania tych zaświadczeń wymaga wiele czasu. Ludzie zwalniają się z

pracy, aby takie zaświadczenia zdobyć, piszą podania, stoją w kolejce. Wiele z tych zaświadczeń mogłoby zastąpić dowód osobisty, albo proste oświadczenie obywatela, gdyby miało do niego więcej zaufania. Ciągle — niestety — mam wrażenie, że u nas niektóre instytucje działalność swoją operują głównie na braku zaufania do klienta.

Tracimy też czas w samej pracy i to nie tylko dlatego, że nie lubimy pracować. Niejeden raz zdarzało mi się już słyszeć, jak skarżyli się robotnicy, że nie mogą pracować, bo brakuje im surowca czy półfabrykatów. Dla nikogo nie jest tajemnicą, jakie rezerwy produkcyjne tkwią w organizacji pracy. Mówi się o tym i pisze od dawna, ale najczęściej też poprzestaje na postulatach. A gdyby tylko każdy pracujący lepiej wykorzystywał swój dzień pracy o kilka zaledwie minut, to w skali całej gospodarki otrzymalibyśmy produkcje dużo wartości. Do tego potrzebna jednak nie tylko dobrej woli, ale i dobrej organizacji pracy. Ludzie

wbrew temu, co się zwykle mówi — lubią i chcą dobrze pracować, gdyż poczucie dobrze spełnionego obowiązku daje dużo zadowolenia. Nie oznacza to, że wśród nas nie ma bume-lantów, obiboków i takich, którzy chcieliby jak te niebieskie ptaki, nie orać, nie słać, a żyć dobrze, przyjemnie i lekko.

Poszanowanie czasu trzeba się uczyć. Trzeba uczyć tego też innych, ale nie robić się tego samym mówieniem o należytnym wykorzystaniu czasu. I dlatego z uporem maniaka będę powtarzał, że właściwe, pełne wykorzystanie czasu zależy od sprawnej organizacji pracy. I o to nie ma rady. Im lepiej ją przebudujemy, tym mniej czasu zmarnujemy. A dłużej go marnować nam już nie wolno.

ZE ŚWIATA

Obiecaliśmy w ub. tygodniu napisać o niedzielach wyborczych. Od tego też tematu rozpoczniemy bieżący przegląd wydarzeń międzynarodowych.

Poprzednia niedziela była dniami wyborów w Chile i Francji, dopiero co miniona — w Argentynie i Francji. Jak już bowiem pisaliśmy na tym miejscu, wybory francuskie rozgrywane są w dwóch turach.

Wybory w Chile zwracały powszechną uwagę z powodu wyraźnej rysującej się polaryzacji społeczeństwa na zwolenników partii lewicowej i prawicy. Ta ostatnia przed kilku miesiącami podjeżdżowała niewybrednie kroki, aby obalić prez. S. Allende i sparaliżować życie kraju. Próba nie powiodła się, ale prawica nie zrezygnowała z walki. Liczyła na uzyskanie takiej liczby mandatów w wyborach, która zechce lewicę do mniejszości i opozycji. Tak się nie stało. Partie Frontu Jedności Ludowej uzyskały 64 mandaty w Izbie Deputowanych, a więc zwiększyły stan

posiadania o 7 oraz 20 w Senacie (o 2 więcej). Największe z partii opozycyjnych: chrześcijańsko - demokratyczna i narodowa nie powróciły do poprzedniego stanu, tracąc po kilka miejsc w obu izbach.

Taki wynik wyborów można uznać za zwycięstwo lewicy. Jest on także świadectwem rosnącej popularności prez. Allende. Lewica wsparcia została głosami klasy robotniczej oraz chłopów, którzy otrzymali ziemię z parcelacji ponad 4 tysięcy majątków ziemskich. Można zatem wybory potraktować jako podsumowanie pierwszego etapu rządów lewicy i stwierdzić, iż podsumowanie to wypadło korzystnie. Ale przed Frontem Jedności Ludowej wiele jeszcze trudnych dni. Złożona jest sytuacja ekonomiczna kraju, dezorganizowana świadomość przez siły prawicy, które często sabotują realizację polityki rządu. Zwycięstwo wyborcze FJL otwiera możliwości przeczyżyczenia tych kłopotów przez odważniejsze wprowadzenie w życie pro-

gramu reform, którego autorami są partie komunistyczna i socjalistyczna.

Zwycięstwem Zjednoczonej Lewicy zakończył się również pierwszy etap wyborczy we Francji. Uzyskała ona 43 proc. głosów, podczas gdy partie dotychczasowej większości rządowej — 35,3 proc. Gdyby więc obowiązywały tam zasady proporcjonalności, a nie ordynacja większościowa, lewica z pierwszego tury wyszłaby z większą liczbą mandatów niż gaulliści. 4 marca rozdzielono jednak tylko 58 miejsc w parlamencie, w 432 okręgach wyborczych w ostatnią niedzielę rozgrywane się druga tura, gdyż poprzednio żaden z kandydatów nie uzyskał wymaganej w pierwszym kolejkności bezwzględnej przewagi głosów.

W drugiej turze — zgodnie z porozumieniem przedwyborczym — komuniści i socjaliści wystawiają wspólnych kandydatów. W każdym okręgu był nim ten, który przed tygodniem uzyskał większe poparcie wyborców.

Nieoficjalnie zablokowały się partie koalicyjne z „reformatorami”. Przywódca tych ostatnich wezwał swych kandydatów, którzy przeszli do drugiej tury, aby wszędzie

tam, gdzie podział głosów antylewicowych może wzmożnić „socjal - komunistów”, wycofali się z walki wyborczej na rzecz partii rządowych.

W sobotę po raz drugi włączył się do kampanii wyborczej prez. Pompidou, rzucając swój autorytet na rzeczą oczywistą po stronie koalicji rządowej.

Termin oddania komentarza do druku zbiegł się zaledwie z ogłoszeniem wstępnych wyników drugiej tury. Wynika z nich, że większość rządowa wprawdzie utrzymała się przy władzy, ale lewica podwoiła liczbę mandatów. Najlepszy dowód, że w społeczeństwie francuskim następują przesunięcia na lewo, a Zjednoczona Lewica jest najpotężniejszą siłą polityczną w tym kraju.

I — aby skończyć z tematem: niedziela wyborcze — jeszcze kilka słów o Argentynie. Niedzielne wybory były pierwszymi od lat dziesięciu. Poprzedziła je fala terronu i ostrej walki politycznej. Toczyła się one głównie między obecną ekipą rządzącą a peronistami. Do ostatniej chwili — wobec wyrównanych szans obu sił politycznych — wynik

wyborów pozostawał pod znakiem zapytania.

Miniony tydzień był tygodniem wizyty w Polsce premiera rządu Finlandii — Kalevi Kosy. Nasz gość przyjęty został przez Edwarda Gierka i Henryka Jabłońskiego, odbył długie rozmowy z premierem Piotrem Jaroszewiczem. Opublikowany po oficjalnej części wizyty wspólny komunikat podkreśla, że omówiono szereg problemów międzynarodowych, ze szczególnym podkreśleniem problemów europejskiego bezpieczeństwa oraz stan i perspektywę wzajemnych stosunków.

W pierwszym przypadku wyrażono przekonanie, że trwające konsultacje w Helsinkach doprowadzą do zwolnienia europejskiej konferencji latem bieżącego roku, w drugim — zapowiedziano rozwój handlu, kooperacji przemysłowej oraz rozszerzenie kontaktów na wielu płaszczyznach społecznych i politycznych. I tak np. przedmiotem wspólnej troski obu krajów jest ochrona środowiska naturalnego Bałtyku, w której to sprawie Polska

i Finlandia będą ściśle współpracowały.

Na Zachodzie w dalszym ciągu trwa kryzys walutowy. Na ten temat w Paryżu toczyły się obrady 14 ministrów finansów. Stany Zjednoczone obstają przy swoim żądaniu, aby kursy walut zachodnich były płynne. Ministrowie zachodnio-europejscy opracowali pod adresem USA katalog pytań. Zakończenie kryzysu — piszą komentatorzy — zależy obecnie przede wszystkim od Waszyngtonu, ale jest wątpliwe, czy zechce on podjąć kroki zaradcze.

W Wietnamie Poludniowym wciąż mają miejsce incydenty zbrojne, które przynoszą ofiary w ludziach. Rozminowywanie wód przybrzeżnych DRW przez jednostki wojskowe USA przebiega natomiast opieszale.

Miniony tydzień przyniósł wiadomość o utworzeniu wspólnej amerykańsko-północnowietnamskiej komisji, która omawiać będzie problemy gospodarcze. Pierwsze jej posiedzenie odbędzie się 15 bm. w Paryżu.

W. ŚLAWSKI



ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, ANDRZEJ GRUN (redaktor graficzny), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, CELINA PALUCH (redaktor techniczny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMANEKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (sekretarz redakcji), MAREK WAWRZKIEWICZ.

Stałe współpracują: KAROL BADZIAK, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, EWA NURCZYŃSKA, JANUSZ SKOSZKIEWICZ, WITOLD ŚLAWSKI.

KINO NA WSI

Pamiętam liryczną, pełną zadumy piosenkę o cyrku, śpiewaną przed laty w teatrze studenckim „Pstrąg”.
Dzisiaj cyrk nie często gości we wsiach i miasteczkach; rozrósł się w potężne przedsiębiorstwo objeżdżające tylko metropolie. Zastąpiły go przez lata brygady artystów estradowych, ale i te, z racji trudnych warunków lokalowych, w jakich często przychodziło im występować — rzadko zaglądają na głębłą prowincję. Obowiązki szerzenia kultury w środowisku wiejskim przejęły na swoje barki niemal w całości miejscowe kluby. Wieści ze świata przynosi prasa i telewizja. Tęsknotę za przygodą i pięknem ma zaspokajać film.

Prawda jest, że od czasu polawiania się w naszym kraju telewizji, a w województwie łódzkim od momentu uruchomienia przekazańka w Zygrach, ilość kin wiejskich zaczęła maleć w tempie zastępowym. Po roku 1966 ubywało ich prawie 900, a w sa-

czynnych nie codziennie i obsługujących najbliższe okolice. Tylko 8 z nich posiada ekran panoramiczny, a trzy w Wołborzu. Rzecznie i niewiadomie nazwać można kinami z prawdziwego zdarzenia.

Gdzie mieszczą się na ogół pozostałe kina? W remizach strażackich, w szkołach i w

wają się na lepszej, bo staranniejszej konserwowanej aparaturze. I w tym wypadku jednak największy kłopot sprawiają lokale, do takich ekipy przyjeżdżają. Bywa że po odbyciu poprzedniego dnia huśtawki zabawiać wioskę na głowie leży na widok dokonanego snuśtoszenia i gigantycznej śmietniku. Innym razem odwołuje się projekcję, bo... zastania ją tańca. I tak bez końca. Bywa też, że właściciele lokalu wymagają tak wygórowanych i sprzecznych z wszelkimi przepisami opłat za wynajęcie sali, że w efekcie istnieją w województwie miejscowości pozbawione kina na przeciąg roku i więcej.

Kina objazdowe są więc pewnym wyjściem z impasu, ale ze względu na warunki w jakich pracują, też nie rokującym najlepszych nadziei.

Oddzielny problem pogarszający i tak już kiepskich stanowią repertuar, skąd sytuację kin wiejskich. Rozdziałnik centralny preferujący kina zerokranowe, premierowe i in. sprawia, że kina wiejskie znajdują się na szarym końcu tabeli a więc na szarym końcu w otrzymywaniu nowych. W listopadzie ub. roku np. w miesiącu dobrym, jeśli chodzi o listę tytu-



BENON LIBERSKI — olej

PIĄTE KOŁO U WOZU?

mym tylko roku minionym — 190. Nic nie wskazuje na to, by proces ten miał ulec zahamowaniu, a przeciwnie — wszystko przemawia za tym, że będzie się nasilał. Wiemy też ze źródeł wiarygodnych, że od samych mieszkańców wsi, że kina odwiedzałyby chętniej, bo to i ekran duży i często barwny obraz, ale...
I tu pada cała lawina argumentów: zdesztawiane, brudne sale, zimą często nieopalone, bywa, że siedzieć nie ma na czym. Aparatura projekcyjna do niego, zniszczone kopie, itp., itd. I dopiero potem następują słowa: to już lepiej w domu, wszędzie i w ciepłym można posiedzieć przy telewizorze.

budynkach gminnych rad narodowych. Traktowane są zwykle jak nasłany przez kwaterunek sublokator, choć umowy między WZK, a miejscowymi władzami zawierane są na zasadzie całkowitej dobrowolności. Ale też często na odfajkowywanie umów zainteresowanie władz się kończy. A potem zwalają winę na telewizję mówiąc: coż chcecie, ludzie mają filmy w domu, to po co im nosa z chałupy wytykać. W tej sytuacji trudno się dziwić, że choć standardowa cena biletu wynosi 4 zł od osoby, przeciętna frekwencja to 30-40 osób w salach, które zdolne są pomieścić 100 i więcej widzów.

Natrafiamy więc na pierwszy paradoks. Wieść zmieniła się ogromnie i zmienia nadal. Kina zaś istnieją i funkcjonują. W takim samym niemal jak przed 30-latami kształcie. Na poparcie tych oczywistych stwierdzeń kilka danych. Obecnie mamy w województwie łódzkim 35 kin wiejskich. W tej liczbie 22 stałe i 13 tzw. półstałych,

ła ratowania i tak już depresyjnego położenia kin, zrodziła się koncepcja kin objazdowych, czyli inaczej mówiąc — ruchomych. Bazą dla nich stanowią powiatowe ośrodki kultury, z których to film rusza w teren. Kina ruchome (powstało ich od 1968 roku 26) mają te przewagę nad stałymi, że można bardziej elastycznie dysponować zapasem kopii filmowych, a i projekcje odby-

ływ, najnowszymi pozycjami były te, które zdały już obieg kina miejskie. Inny przykład: „Pana Wołodyjowskiego” (wersja filmowa) oglądano na wsi po zrealizowanej później, odcinkowej wersji telewizyjnej. Tymczasem we wszystkich miastach kraju, widowie obejrzeli najpierw film, potem dopiero wracali do przygód pana Michała na ekranach swoich telewizorów. Opóźnienia repertuarowe stosowane wobec wsi prawem kaduka, są o prostu niedopuszczalne. Większość filmów daje się przecieć kopiować nawet na taśmie 16 mm, o czym chyba przypominać nie trzeba.

Sprawa może marginesowa, ale nie bez wpływu na frekwencję w kinach wiejskich — to reklama. Obskurne afisze wypełniane kopiowym zamazującym się ołówkiem, brak plakatów, fotofos i innych atrakcyjnych druków — nie zachęcają nikogo. Oglądałam w WZK nowe, estetyczne i przyciągające oko projekty afiszy (niektóre są już w obiegu), ale to kropla w morzu potrzeb.

uragających podstawowym pojęciom o kulturze odbioru. Dołączając do tego przestawiały nierazadko repertuar, złą jakością taśmy filmowej i aparatury projekcyjnej, mamy pełen, jakże ponury obraz. Jedynym wyjściem zdaje się być pozostawienie ze stałych, tylko tych kin, których warunki lokalowe pozwalają na dokonanie niezbędnych remontów i usprawnień. Resztę kin chyba pozostawić kinom objazdowym przy zobowiązaniu właścicieli lokali, do których one zawitają, do dbałości o zaimprovizowane sale projekcyjne. Wobec bowiem braku innych, zawodowych instytucji kulturalnych na wsi, kino potrzebne jest tam przede wszystkim, a nie gdziekolwiek indziej. Traktowanie go jak przysłowionego piątego koła

u wozu, wydaje niedobre świadectwo gospodarzom wsi i osiedli, a i władzom centralnym naszej kinematografii. Oczywiście łatwiej jest szerzować wylartymi sloganami o magicznej sile telewizji, niż próbować odszukać przyczyny niepowodzeń kin wiejskich poza nią.
A może by tak socjologicznie zajęli się zbadaniem tej sprawy, i może w oparciu o wnioski płynące z ich pracy, udaloby się znaleźć wyjście z impasu. Jak dotąd poruszamy się jedynie w kręgu domniemań, domysłów i wymysłów różnych Bardzo Kompetentnych Osób. I tak jak w bajce o małpie, która sprawiła sobie okulary, błądźmy po omacku, a sposób może okazać się niespodziewanie prosty. Doc. dr Józef Kądzielski, który w pracy „O problemie modelu rewolucji kulturalnej” opublikował m. in. wyniki analizy zmian

strukturalnych w korzystaniu ze środków i instytucji kulturalnych, zachodzące pod wpływem rozpowszechniania się telewizji (badania te prowadziła w Łodzi i w Katowicach) dowiodł, że... „ogólny efekt tych przemian strukturalnych jest pozytywny. Mieszkańcy coraz większą ilość czasu poświęcają na korzystanie ze wszystkich środków i instytucji kulturalnych”.
Na zdrowy rozum przecież, WZK nie musi wcale jeżdżać na od lat planowanych deficytach, ani też ich przekraczać. Film jest sztuką tego rodzaju, która zarobi na siebie, byłaby tylko umieć ją sprzedać, wybierając towar dobry i podając go w dobrym opakowaniu.

LUCYNA HOSZOWSKA



W OCENIE MUZYKÓW

4 lutego br. odbyło się Nadzwyczajne Zebranie Oddziału Łódzkiego Stowarzyszenia Polskich Artystów Muzyków, na które przesiadaliśmy w swoim czasie dla Ob. Redaktora oddzielne zaproszenie. Ponieważ w referacie i dyskusji poruszono — obok innych spraw — także problemy publicystyki muzycznej w naszym mieście, pozwalamy sobie przesyłać fragment referatu, dotyczącego tematu. Stowarzyszenie nasze zrzęza pracowników wszystkich instytucji muzycznych Łodzi i z tego tytułu myśli i postulatów, zawarte w referacie, są wyrazem opinii i potrzeb całego środowiska muzycznego.
Sądzimy, że przekazane w załączeniu materiały mogą się okazać użyteczne dla określenia stanowiska Redakcji wobec tego ważnego wyznika potrzeb społecznych i kulturalnych.
Deklarujemy gotowość do ewentualnych szerszych rozmów na ten temat.

MUZYKA W PRASIE ŁÓDZKIEJ

Gdyby nieorientowany czytelnik chciał sobie wyrobić poglądy na temat łódzkiego życia muzycznego w oparciu o łódzką prasę, rychło doszedłby do wniosku, że w Łodzi życie muzyczne jest wyjątkowo leniwe i ospale. Od czasu do czasu jakiś koncert w Filharmonii, raz na kwartał premiera w Teatrze Wielkim, czasem premiera w Teatrze Muzycznym. Gdyby jeszcze ten czytelnik chciał dowiedzieć się czegoś w podobnym koncercie, czy przedstawień — niewiele materiału mogłoby w tej prasie znaleźć...
Co mianowicie można przeczytać w łódzkich pismach na temat muzyki?
Najlepiej pod tym względem prezentuje się „Głos Robotniczy” (który np. kiedyś przed laty otrzymał nagrodę własnie za publicystykę muzyczną. Właściciel wiesz jednak, że była to typowa nagroda „na zachęte”). Otóż w „Głosie” można przeczytać cotygodniową recenzję z koncertu w Filharmonii (ale jedynie z koncertów symfonicznych i to płatowych!) — koncerty kameralne w teatrze Filharmonii czy koncerty kameralne w innych salach koncertowych wyraźnie uchodzą uwagi sprawozdawcy „Głosu”. Gazeta ta publikuje również regularnie oceny premier teatrów muzycznych. Od czasu do czasu zamieszcza również artykuły felietony, dotyczące różnych problemów muzycznych. Jest to, jak dotąd, wypadek odosobniony, wynikający zresztą z osobistych zainteresowań dziennikarza, właściwie rozumiejącego swoje zadania społeczne.
„Dziennik Łódzki” swe lamy dla publicystyki muzycznej zamknął definitywnie przed kilku laty. W swoim czasie bowiem w tej gazecie ukazywały się recenzje i sprawozdania

muzyczne. Potem z różnych względów okazało się, że są one zbyt słabe, próbowano jeszcze czegoś w rodzaju publicystyki, wkrótce i to się skończyło. Sprawozdawca „Dziennika” regularnie pisuje o premierach teatrów muzycznych, nie będąc jednak specjalistą w dziedzinie publicystyki muzycznej — popelnia liczne błędy i omyłki, przekazując czytelnikowi bardzo nieraz zniekształcony obraz omawianych przedstawień.
W „Expressie Histrogram” publicystyki muzycznej nigdy nie było. Należy wątpić, czy redakcja tego tak przebiegłego popularnego pisma kiedykolwiek na tym zależało.
Najgorzej przedstawia się sprawa publikacji o muzyce w jednym łódzkim tygodniku, który jak na ironię ma nagłówek „Tygodnik społeczno-kulturalny” — w „Odgłosach”. Sytuacja w tym piśmie zmieniała się przed kilku laty zdecydowanie na gorsze z chwilą objęcia stanowiska sprawozdawcy działu kulturalnego przez osobę uprawiającą z równym zapałem publicystykę na tematy muzyczne, filmowe czy plastyczne, jak i piszącą o niedostatkach przemysłu obuwicznego czy wartości ekspozycji polskich kosmetyków na Targach Poznańskich. W swoim czasie — to znaczy dość dawno — w „Odgłosach” ukazywały się rzetelne recenzje muzyczne Romana Lyskowskiego, pisywał Zygmunt Gzella, umieszczał comiesięczne sprawozdania Aleksander Konieczki. Było to już jednak bardzo dawno, a w każdym razie od tej pory zespół redakcji zdążył zmienić się kilkakrotnie.
Kierownictwo redakcji „Odgłosów” zmieniło się również ostatnio — może będzie to zapowiedź zmiany na lepsze w sprawie nas obchodzącej?
Tu chyba dochodzimy do sedna sprawy. Jak to się dzieje, że jedno pismo ma pewne w tym względzie ambicje, drugie

nigdy takowych nawet nie przejawiało?
Istnieje koronny argument w rozmowach na ten temat z redaktorami: „nie ma miejsca”. Argument nie przekonujący... bo nieprawdziwy. Nie o miejsce chodzi, lecz o zainteresowanie dla przedmiotu, jakie żywi się (tub nie), zajmując określone stanowisko w redakcji. Dziwnym jest, że właśnie w socjalistycznej prasie tak wiele zależy od osobistych upodobań czy uprzedzeń, że kształtowanie obrazu redagowanej przez siebie gazety czy jej działu jest spełnieniem własnych „wydaje mi się, czy „widzi mi się”, a nie spełnianiem służbowej roli wobec czytelników, reprezentujących społeczeństwo.
Dlaczego argument o braku miejsca uważamy za generalnie fałszywy? Dlatego, że szermujący nim dziennikarze nie zabują tego tak cennego miejsca dla publikacji o rozmiarze pół kolumny na „Paradę gwiazd” (właściwie to też niby o muzyce). A w sytuacji, kiedy obłożenie „Dziennika Łódzkiego” — o te gazety bowiem właśnie chodzi — powiększyła się (co należy uznać za objaw bardzo radosny) do 10 stron w sobotę i tydzień w niedzielę — argumentowanie brakiem miejsca jest argumentem dla przedszkolaków.
Przecież nawet w tej ściśle limitowanej gazecie znajdują się miejsca na codzienne sprawozdanie z łódzkich Spotkań Baletowych — i tak właśnie powinno być! Znajduje się również miejsce na obszerniejsze relacje o tournée zagranicznym Teatru Wielkiego, tyle że pisuje się wtedy zwykle o sprawach marginalnych — zapewne nie mając nie do powiedzenia w kwestiach zasadniczych. Gwoli wyjaśnienia dodać się godzi, że i te publikacje wynikły prosto z tego, że sprawozdawca był za granicą razem z Teatrem

— zafundowano mu atrakcyjną wycieczkę.
Należy w tym miejscu zadać sobie pytanie — czy to źle, że o łódzkich sprawach muzycznych pisze się tak mało, że prawie wcale? Pytanie retoryczne o tyle, że zadawane w gronie muzyków.
Może jednak warto sobie powiedzieć jeszcze raz na nie odpowiedzieć. Całą publicystykę muzyczną można z grubszą podzielić na dwa zasadnicze rodzaje — recenzje i sprawozdania oraz artykuły czy felietony problemowe. Recenzje i sprawozdania potrzebne są przede wszystkim artystom. Nie spotkalimy jeszcze artysty występującego w naszym mieście, który nie byłby ciekawy recenzji ocenającej jego występ. Dla wielu — szczególnie artystów młodszych — recenzje są podstawowym sprawdzianem ich przydatności estradowej, sprawdzianem warunkującym dalszy rozwój artystyczny. W sytuacji, kiedy recenzja jest jedyną (a więc jedyną) wyrocznią — zawsze bardzo ryzykowną — nie ma możliwości jej skonfrontowania z drugą czy trzecią. W dodatku recenzja ta ukazuje się niekiedy w tydzień po imprezie, jest więc przysłówiową muszardą po obiedzie i na pewno nie spełnia swojego zadania.
W przypadku recenzji teatralnych sprawa jest jeszcze gorsza. Piszący o teatrze muzycznym — podkreślmy to z całym naciskiem — musi się wykazać autentycznym znawstwem złożonej problematyki operowej, operetkowej czy baletowej, musi po prostu posiadać niezbędne Quantum wiedzy fachowej, która pozwoli mu zabierać głos w sposób stanowczy i autorytatywny, ale odpowiadający prawdzie, rzetelny. Tylko do takiego krytyka można mieć zaufanie, enuncjacji przyczynzonego spra-

Dalszy ciąg na str. 4

„Po kilku dniach zaprosiłem Tera do siebie do domu. Zaraz po przyjeździe mówił mi, że chciałby się ze mną naradzić, że przywiózł z Moskwy dość dużo materiałów propagandowych, które wręczył mi w Sekretariacie KC specjalnie dla Nizniego. Poprosiłem go, by przyniósł te materiały, gdyż ciekaw byłem, co też mu dai.

Zjawił się u mnie z ogromnym plikiem papierów i broszur. Przeglądałem je i stwierdzam, że wszystko, co mi pokazał, to materiały trockistów — przemówienia Trockiego, Buchacina i pozostałych opozycjonistów.

Byłem oburzony: — Po coście, towarzyszu, to przywieźli? Chcecie propagować te idee u nas, w naszej organizacji? Trzymacie z Trockim? — Ter, człowiek niezwykle zrównoważony, wysłuchał moje spokojnie i rzekł:

— Słuchajcie, Mikołaj, nie zarzucajcie mi trockizmu, bo wcale trockista nie jestem. — Jakże. — przerywam, — nie jesteście skoro przytaszczyliście ze sobą kupę trockistowskiej literatury? Po czyjej stronie opowiadacie się w partyjnej dyskusji? —

— Materiały. — powiada Ter, — dano mi w Sekretariacie KC na polecenie sekretarza KC Krestinśkiego, który radził mi wziąć je ze sobą. No więc przywiózłem. A kolportować ich nie miałem wcale zamiaru... W przeciwnym wypadku po co miałbym wam o nich mówić? Chciałem po prostu zorientować się, jakie jest wasze stanowisko i pokazać jaka literatura propaguje Sekretariat KC... Pytaicie, po czyjej stronie występuje w dyskusji? Muszę wam powiedzieć, że do tej pory tylko raz miałem okazję zabrać głos w tej sprawie i co najdziewiętnię, jako trockista... —

Oczywiście, to zupełnie wyprowadziło mnie z równowagi. Pamiętam, że strasznie się uniosłem i nagadałem mu masę impertynencji.

Ter zupełnie nie zareagował na mój gniew, a gdy się już wykrzychałem spokojnie zaczął mówić:

— Doskonale was rozumiem, towarzyszu Mikołaj, ale posłuchajcie jak to było. Już wam mówiłem, że zajmowałem stanowisko przewodniczącego Rady Wykonawczej w Orle. Sekretarzem Kom. Gub. partii jest tam Lominadze. Bardzo sobie ufaliśmy i współpracę dobrze się układała. Kiedyś mówił do mnie:

„Wiesz, Ter, coś mi się tu u was wydaje za spokojnie, nie bardzo mi się to podoba. Wszędzie, we wszystkich guberniach gorąco dyskutują, sprzecają się o generalną linię partii. Jedni są za „platformą dziesięciu“, drudzy za Trockim, jeszcze inni opowiadają się za „opozycją robotniczą“ lub za linią Saprnowa, a u nas co? Nawet nie wiemy, kto za kim trzyma... Zadnych dyskusji, żadnych sporów... Wychodzi na to, że dokoła nas kwitnie bujne życie, a u nas kompletny beżwiad... Jak myślisz, — mówi Lominadze, — może by tak „zorganizować“ dyskusję? Ja będę reprezentował linię Lenina, a ty — Trockiego, chętnie zobaczymy, co z tego wyjdzie. W każdym razie, będziemy chociaż wiedzieli, co ludzie myślą, a wpływ na podniesienie poziomu ideowego może to mieć niebagatelny“.

Propozycja była ciekawa, więc oczywiście zgodziłem się. — elagnął Ter, — Lominadze umiał mówić przekonująco. Po jego wystąpieniu zdecydowana większość opowiadała się za linią Lenina, za Trockim — zaledwie garstka. Osobiście jestem zdecydowanym zwolennikiem leninowskiej platformy, a w naszej „dyskusji“ z Lominadze starałem się po prostu obiektywnie wyłożyć platformę Trockiego... —

Całe to opowiadanie Tera brzmiało tak dziwnie i nieprawdopodobnie, że otwarcie mówiąc, z początku nie dalem mu wiary. Jednak Ter tak długo i gorąco przekonywał mnie, że w końcu uwierzyłem w szcerość jego słów. Lominadze, którego spotkałem później na X zjeździe partii, przyświadczył, że taka dziwna „dyskusja“ rzeczywiście odbyła się w Orle. Uśmialiśmy się z tego pomysłu dyskusowania „na siłę“...

Jeśli chodzi o przywiezione przez Tera materiały, to myślę, że sprawa miała się tak: ówczesny sekretarz KC partii Krestinśki, będąc sam trockistą, przeczytał w protokołach z Orla, jak to Ter „bronił“ platformy Trockiego i nie sprawdziwszy o co tam chodziło, wysłał Tera do Nizniego licząc na wzmacnienie miejscowej grupy trockistów. No i się przeliczył.

Ter wykazał się dużym doświadczeniem politycznym, był oddany sprawie Lenina i w pełni sprawdził się jako przewodniczący naszej Gubernialnej Rady Wykonawczej (do pełnienia tej funkcji powołał go VIII Gubernialny Zjazd Rady).

(...) W połowie lutego odbyło się plenarne zebranie Kanańskiej organizacji partyjnej. Wiedzieliśmy, że kolejarze tego rejonu znajdowali się pod silnym wpływem „opozycji robotniczej“ i występowali jako jednorodna zwarta grupa. Dlatego też na to zebranie przybyło kilku członków Kom. Gub. — zwolenników „platformy dziesięciu“. Dość powiedzieć, że na zebraniu tym oprócz mnie o platformie Lenina mówił członek egzekutywy Żechanow, jak również Taganow, Ter i Maszkowcew. Ciekawie, na przykład, przemawiał robotnik Zacharow, który opowiadał się za „platformą dziesięciu“, ale wyznał, że jeszcze niedawno należał do „opozycji robotniczej“. Dopiero gdy „...rozejrział się dobrze wśród tych wszystkich ugrupowań, przeszedł na stronę Lenina“.

„Opozycja robotnicza“ też nie zasypiała gruszek w popiele i przysłała do Kanawina dość poważne wsparcie. W ich imieniu referat wygłaszał doświadczony demagog Czernow, który specjalnie przyjechał, tutaj z Sormowa, głos zabierali także działacze aparatu gubernialnego Stolbow, Grigorjew, Maksimow i członek egzekutywy Kom. Gub. Kozin (kiedyś członek organizacji partyjnej w Kanawinie, mający znaczny wpływ wśród miejscowych robotników).

Co prawda wskutek zbyt małego doświadczenia politycznego Kozin próbował połączyć obydwie platformy, stawił wniosek, by „przyjąć założenia teoretyczne zawarte w tezach „dziesięciu“, a za podstawę do działania przyjąć wnioski natury praktycznej zawarte w platformie „opozycji robotniczej“.

Głosowanie: 81 głosów — na „opozycję robotniczą“, 27 — na „platformę dziesięciu“, 2 głosy — na trockistów.

Ponieśliśmy klęskę. Dlaczego? Bez wątpienia przyczyną tkwiła w tym, że w Kanawinie mieliśmy za mały kontakt z masami partyjnymi i nie zdążyliśmy przeprowadzić w podstawowych komórkach partyjnych roboty wyjaśniającej sens naszego konfliktu. Poplecznicy „opozycji robotniczej“, szczególnie zaś Czelyszew i Kozin, mieli w organizacji kanańskiej rozległe kontakty i potrafili przeciągnąć towarzyszy na swoją stronę. Podczas zebrania plenarnego decydującą rolę odegrało też stanowisko liczonej i jednorodnie zwartej grupy kolejarzy, którzy głosowali na „opozycję robotniczą“. To nie był przypadek, gdyż nawet po X zjeździe partii (aż do XI zjazdu) kolejarze uparcie opowiadali się za Szlapanikowem.

Po kilku dniach podobne zebranie plenarne odbywało się w Sormowie. Aby czuć za sobą siłę i zdecydowanie

Czyż można wątpić w to, że w warunkach wywalczonego już pokoju, pod wypróbowanym kierownictwem Lenina z takim samym powodzeniem pokonamy wszystkie obecne trudności i zacznijemy budować socjalizm?

Próżno oportunistą w całym kraju ze skóry wylaża, by przekonać klasę robotniczą, że pokonanie obecnych trudności jest możliwe jedynie po zwycięstwie platformy Trockiego lub Szlapanikowa i po zmianie kierownictwa partii w kraju. Robotnicy Sormowa nie pójdą na lep tego kłamstwa i jak jeden opowiadają się po stronie Lenina i jego platformy politycznej.

Sala poparła mnie gorąco i burzliwie. W innym miejscu, gdy mówiłem o demagogicznych obietnicach, zawartych w platformie „opozycji robotniczej“, zacytowałem punkt, w którym opozycja twierdziła, że jak tylko zwycięży, zaraz „przeprowadzona zostanie linia tramwajowa do osiedli robotniczych“.

— Pozwólcie, towarzysze, że zapytam popleczników tej platformy — Czelyszewa, najbardziej wpływowego członka Komitetu Gubernialnego partii, którego podpis widnieje tuż pod nazwiskiem Szlapanikowa i Czernowa, dyrektora sormowskiego giganta przemysłowego, czyj podpis również znajduje się na tej deklaracji, — któż to wam, szanowni towarzysze Czelyszew i Czernow zabraniał teraz, gdy reprezentujecie władzę w gubernii i w zakła-

POLITYCZNA DYSKUSJA

wystąpić przeciwko opozycji na Gubernialnej Konferencji Partyjnej musieliśmy za wszelką cenę osiągnąć tu większość. Zwycięstwo leninowskiej platformy w tym robotniczym rejonie było konieczne i niezbędne.

Poplecznicy Szlapanikowa nie wątpili, że i tu również zwyciężą. Zachowanie ich na zebraniu świadczyło o wielkiej pewności siebie. Nasi, choć bardzo zdenerwowani, nie dawaliśmy im po sobie. Ogarniali nas na przemian nadzieja, to wątpienie. Chyba najbardziej przeżywał to wszystkich Ikonnikow. On przygotowywał to zebranie i wiedział, że na nim ciąży wielka odpowiedzialność za jego wynik. Już od kilku dni nie ruszał się z Sormowa: chodził po domach starych komunistów, dyskutował, wyjaśniał, przekonywał... Teraz, na zebraniu także siedział wśród nich, sormowskich robotników-komunistów... —

Po referatach ze strony „opozycji robotniczej“ i trockistów nastąpiła moja kolej. Przemawiałem w imieniu zwolenników „platformy dziesięciu“. Starałem się mówić prosto i jasno, świadomie zastrzegając istotę naszego konfliktu. Aby być lepiej rozumianym opierałem się na przykładach znanych sormowianom z ich własnego życia. Chciałem za wszelką cenę zdemaskować oportunistów, krytykujących partię, zdyskredytować ich kłamliwe i demagogiczne obietnice, że jak tylko zwycięży ich platforma, natychmiast i w sposób odczuwalny podniesie się stopa życiowa robotników.

Przypominam sobie dwa takie momenty, które wywarły istotne wrażenie na robotnikach i spotkały się z aprobatą zebrania. Mówiłem o tym, że poplecznicy Szlapanikowa starają się oskarżyć nas o to, iż trudne warunki, w jakich pracuje i żyje klasa robotnicza są wynikiem niewłaściwej linii i nieodpowiedniego zarządzania ze strony partii i osobiście tow. Lenina. A przecież każdy z nas wie, że źródeł naszych trudności należy szukać w siedem lat trwającej wojnie światowej i wojnie domowej, w wyniszczeniu narodu i ruinie, do jakiej doszła nasza gospodarka w następstwie obydwu tych wojen. Pod kierownictwem Lenina wojna zakończyła się zwycięstwem dla wrogów zwycięstwem Władzy Radzieckiej. Rozbito i przepędzono z ziemi rosyjskiej silne i liczne wojska interwentów, doszczętnie rozbito i zlikwidowano wewnętrzną kontrewolucję obszarników i kapitalistów.

dzie, któż wam zabraniał przeprowadzić tramwaj z miasta (Nizniego — obj. tłum.) do Sormowa? Przecież to mieściło się w ramach waszych praw i obowiązków. Może to Lenina wam zabronił? Jeśli tak, to udowodnicie nam to tutaj faktami i dokumentami. Ale wy, towarzysze, nie możecie tego udowodnić, gdyż Lenin więcej niż ktokolwiek z was troszczył się o potrzeby ludu. Była straszna wojna, gospodarka doszła do ruiny. Gdzie w latach głodu i chłodu mieliśmy wziąć środki lub choćby szyny na budowę linii, gdy metalu nie starczało nawet na karabiny? Obecnie, weszliśmy w okres pokojowego rozwoju, partia przystępuje do działań zmierzających do odbudowy i rozbudowy naszej gospodarki. Wróćcie budowa u was linii tramwajowej będzie zadaniem realnym. Zrobimy wszystko co będzie możliwe dla polepszenia bytu klasy robotniczej. A osiągniemy wiele, jeśli budować będziemy pod kierownictwem Lenina, za którym bez wahania pójdą bolszewicy sormowskiej organizacji partyjnej jednogłośnie głosując teraz na „platformę dziesięciu“.

Sala zareagowała owacją. Liderzy opozycji byli wyraźnie speszzeni. Po mnie zabrało głos kilku robotników, po czym przyjęto wniosek o zamknięciu dyskusji. Platforma „opozycji robotniczej“, na którą głosowano w pierwszej kolejności otrzymała około jednej czwartej głosów. „Platforma dziesięciu“ — prawie trzy czwarte głosów. Pozostałe platformy nie znalazły tutaj poparcia.

Przewodniczący zebrania zaproponował, by delegatowi na Gub. Konferencję Partyjną wybrać proporcjonalnie do liczby głosów oddanych na każdą z platform (tak postępowano na wszystkich zebraniach partyjnych), lecz nagle gdzieś z tylnych rzędów podniósł się robotnik o postawie atlety i głosem nie znoszącym sprzeciwu oznajmił:

„Większość z nas przyjęła platformę Lenina. Należy wobec tego posłać na Gub. Konferencję Partyjną tylko tych, co wyrażają wolę większości. Nam sormowianom nie wolno dopuścić, aby na konferencji jedni z nas wypowiedzieli się po stronie Lenina, a drudzy po stronie Szlapanikowa“.

Wniosek przegłosowano. Jako delegaci wybrani zostali tylko zwolennicy „platformy dziesięciu“. Wyszło tak, że ani jeden członek Sormowskiego Komitetu Rejonowego nie został delegatem. Robotnicy Sormowa wymierzili mocny cios liderom opozycji.

Tłum. SABINA NOWICKA-KOCZNOW



(Dalszy ciąg ze str. 3)

wozdawcy nie sposób traktować poważnie. Musielibyśmy zwątpić w swoją własną wiedzę, czytając np o „Tosce“ Verdiego (przykład autentyczny). Jest rzeczą zastanawiającą, jak często wypowiada się opinie merytoryczne, nieuzasadnione, nie mając do tego żadnych — nazwijmy rzeczy po imieniu — podstaw czy uprawnień. Jak też często sprawozdawcy łódzcy głoszą na temat premier Teatru Wielkiego opinie „biegunowo

rózne od opinii fachowców-specjalistów, jak Józef Kański czy Henryk Swolicki. Cóż, papier jest cierniowy, a piszący działają z poczuciem pełnej bezkarności. Oprócz artystów oczekujących na recenzje — fachowe i prawdziwe są jeszcze — przecież czytelnicy — tysiące czytelników! I tu znów argument — po co pisać publicznie o tym, co dzieło się wobec zaledwie kilkuset osób? Otóż właśnie po to, aby dowiedzieli się wszyscy, a przynajmniej wszyscy, którzy tego chcą, o tym — że występujący właśnie pan X jest artystą najwyższej klasy, natomiast panem Y byliśmy rozczarowani. Zainteresowanie sprawami muzycznymi w społeczeństwie miasta jest bardzo niska. Właśnie w stałym publikowaniu rzetelnych informacji o wszystkim, co tego jest godne w łódzkim życiu muzycznym — widzimy jedną z zasadniczych dróg przelamywania dość powszechnie obserwowanej obojętności dla spraw kultury (...)

Znany w środowisku muzycznym zespół Łódzkiej Orkiestry Kameralnej „Pro Musica“ w 1971 r. występował z powodzeniem w Austrii i Szwajcarii, otrzymując po jednym koncercie w Luzernie 3 fachowych, obszernych recenzji. W Łodzi wiele lat trwały starania o polewanie reprezentacyjnej imprezy muzycznej. Wreszcie w 1963 roku odbył się pierwszy Festi-

wał Muzyki Organowej i oratoryjnej. Z ośmiu festiwalowych koncertów oceniono jedynie trzy i to tylko na łamach „Głosu“. Były to w ogóle jedyne oddzielnie prasowe imprezy zorganizowane w Łodzi po raz pierwszy i z niemałym trudem. Nie lepiej było z Festiwalem Młodych Pianistów im. Wł. Kędry w tymże roku.

W 1971 r. łódzkie reprezentacyjne zespoły miały wiele występów zagranicznych: Teatr Wielki — Jugostawia, Filharmonia — Włochy, „Pro Musica“ — Włochy, Austria, Szwajcaria. W prasie łódzkiej znalazły się jedynie lakoniczne wiadomości agencyjne, zabrakło i tym razem miejsca na szczegółowe sprawozdania o poezymaniach i sukcesach tych, którzy reprezentowali nasze miasto, nasz kraj, naszą kulturę.

Ostatni przykład — Międzynarodowy Konkurs Skrzypcowy im. H. Wieniawskiego w Poznaniu. Jedną z złotych nagród zdobyła łódzianka. Co o tym pisze łódzka prasa?

„Nie można oprzeć się przesądzeniu, że w naszych słynnych już na cały kraj narzekaniach o łódzkim prowincjonalizmie i zaciętanowości jest bardzo wiele naszej własnej winy. Co mają wiedzieć o nas inni, co mają pisać w prasie centralnej, skoro my sami nie nie wiemy, nie nie piszemy? A mo-

że po prostu nie chcemy czy nie potrafimy? —

Od braku recenzji czy sprawozdań ze wszystkich łódzkich imprez, bodaj jeszcze bolesniejszy jest brak uczciwej informacji o tym, co się w naszym mieście dzieje. Istnieje wydawnictwo „Dziennika Łódzkiego“ — comiesięczny Łódzki Informator Kulturalny. Zawiera on rzeczywiście niemal dokładne dane o tym, co oczekuje łódzian w nadchodzącym miesiącu. Jednak trzeba tę właśnie gazetę kupić, następnie przechowywać ją szczególnie przez cały miesiąc. Zreszta i to — bardzo przecież potrzebna publikacja — jest jedynie namiastką prawdziwego informatora o łódzkiej kulturze. W naszych gazetach skąpi się miejsca nie tylko na recenzje — nie ma mowy o podaniu do publikacji wiadomości, informacji o koncertach w ramach Wiecezorów Muzycznych w PWSM, o stałe nie zamieszczono np. zapowiedzi sesji popularno-naukowej. Jaka Wyższa Szkoła Muzyczna zorganizowała dla uczczenia 50-lecia ZSRR — zapowiedzieć ta ukazała się jedynie w „Głosie Robotniczym“. Właśnie informacja z odpowiednim wyprzedzeniem i to nie o jednorazową, lecz powtarzającą się najmniej kilka razy w tygodniu jest warunkiem zasadniczym, by można było mówić o spełnieniu podstawowego zadania naszej prasy. Musi to być też infor-

macja pełna — wiadomość np. w „Głosie“ w kalendarzyku o bok programów kin typu: Filharmonia — godz. 19.30 Koncert symfoniczny — nie absolutnie nikomu nie mówi. Podobnie nie mówią by nikomu informacje, że przedstawienie Teatru Nowego dziś rozpocznie się o godz. 19.15.

Nie jest na pewno wygórowanym żądaniem — zamieszczenie raz w tygodniu pełnej, wyczerpującej informacji w każdej łódzkiej gazecie o tym, co w dziedzinie muzyki zapowiada nadchodzący tydzień. Musi to być pełna informacja — nawet z podaniem ważniejszych szczegółów np. przedstawień operowych. Oczywiście — można tak imprezy po prostu reklamować — tyle, że instytucje po prostu nie mają na ten cel pieniędzy. A pisać o tym wypełniamy bardzo dotkliwą lukę, jaką jest właśnie niedostatek informacji o kulturze — jakkolwiek bowiem muzyka jest jedynie częścią kultury, to przecież te wszystkie nasze zastrzeżenia i spostrzeżenia w znacznym stopniu dadzą się odnieść i do publikacji o innych dziedzinach naszej kultury.

Wydaje się, że nadsełd wreszcie czas, by zrozumieć, że czytelnik — a więc obywatel naszego socjalistycznego miasta — chce czegoś więcej, niż tylko wieści sądowo-kryminalno-ekonomiczne. Je-

żeli nawet jeszcze nie bardzo chce słuchać czy czytać o sprawach kultury, to trzeba mu w tym pomóc — nikt tego nie zrobił równie dobrze, jak właśnie prasa, poprzez prawdziwą, rzetelną i pełną informację oraz przez rozbudzenie zainteresowania czytelnika kulturą — pisać wszszczętnie o tej kulturze.

OD REDAKCJI: List łódzkiej oddziału Stowarzyszenia Polskich Artystów Muzyków publikujemy z drobnymi skrótami, nie mającymi istotnego znaczenia dla całości. Zdecydowaliśmy się na publikację ze względu na to, że list SPAM stanowi o f e j a i o e stanowisko, wyrażone w referacie zarządu, a dotyczące łódzkiej prasy. Mamy nadzieję, że zainteresowani zechcą wypowiedzieć się sami. Z naszej strony wyrażamy gotowość do podjęcia każdej dyskusji, jeśli obie strony będą w pełni postugiwały się argumentami, a nie insynuacjami, pomówieniami i opiniami podyktowanymi urażoną ambicją i zawziętym urażeniami nadziejami. Zdarzenia sobie sprawie, że na łamach „Ogłoszeń“ bardzo mało miejsca poświęcamy muzyce, ale przyczyną takiego stanu rzeczy są znane nie tylko redakcji. Do problemów krytyki artystycznej będziemy chcieli jeszcze powrócić niejednemu raz.



ŁUDZIE ŚMIECHU

Wysoko cenię niektóre książki Witolda Fillera — np. „Melpomena i piwo” jest naprawdę pasjonująca opowieścią o teatrach starej Warszawy. Kiedy jednak Filler bierze na warsztat tematy współczesne — czyta się te książki z irytacją.

Ostatnio PIW wydał broszurkę Fillera o intrygującej okładce, wysokiej cenie i dużym dwudziestotysięcznym nakładzie. Postanowił w niej autor w paru słowach scharakteryzować niektóre zjawiska i osobowości współczesnej rozrywki. W efekcie otrzymaliśmy książkę, która ani nie jest pogłębioną analizą zjawisk, ani nie jest felietonową prezentacją „do czytania”... Jest natomiast zbiorem banalnych cenzurek, Mieczysław Fogg jest tu „żywy i śpiewa trzem pokoleniom”, Ewa Demarczyk osiągnęła „stopień artystycznego waleńniczenia”, Wojciech Młynarski stał się „pierwszym bardem Rzeczypospolitej”... itd., itd... Oczywiście upraszamy owe fillerowskie cenzurki, ale prawda jest, że rządzi nimi banalność.

Witold Filler „Ludzie śmiechu” PIW — 1973.

SZKICE OSTROMĘCKIEGO

Wszyscy wiemy, że libretto „Halki” napisał Włodzimierz Wolski. Ale kim był, co stworzył poza librettem słynnej opery? Z encyklopedii i podręczników dowiemy się niewiele — Wolski był autorem dość przeciętnym i na Parnas trafił właściwie tylko dzięki operze Moniuszki. Wszyscy wiemy, że słowa chóru „Z dymem pożarów” napisał Kornel Ujejski. Ale kim był, co stworzył, jaka była jego życiowa i artystyczna droga do tej pieśni, która stała się narodowym hasłem? Ujejski nie był poetyckim geniuszem i bardzo mało znaleźliśmy na jego temat w encyklopediach i podręcznikach. O nich to właśnie — o Ujejskim, Wolskim a także o Lenartowiczu, Balińskim, Syrokomli i Romanowskim — napisał ciekawą książkę Bogdan Ostromecki. Jest to więc swoista encyklopedia poetów zapomnianych a przecież odciśniętych w jakiś sposób swój ślad w polskiej literaturze. Ostromecki poświęcił swe szkice właśnie tym zapomnianym, małym poetom aby tym wyraziściej ukazać w jaki sposób w twórczości tych ludzi przełamuje się to wszystko co było doświadczeniem zbiorowości, polskiej epoki między rokiem 1831 i 1863. Nie jest to wszakże książka ściśle historyczno-literacka. Szkice te — jak to zamierzył autor — stały się w istocie polem do pewnych refleksji wiążących się także ze współczesną problematyką literacką, społeczną, kulturalną. Jest to pole pełne dopowiedzeń i niedopowiedzeń i już tylko sprawa czytelnika jest snuć własnych refleksji na marginesie losów zapomnianych, małych poetów.

J. WIL.

Bogdan Ostromecki „Liryki, trubadury i tyrtaje” LSW — 1973.

„SKŁÓCENI Z PRAWEM”

Na dziesięciolecie swojej pracy reportera i publicysty sądowego Barbara Seidler przygotowała wybór reportaży, zebranych w tomie pod wspólnym tytułem „Skłóceni z prawem”. Autorki właściwie przedstawiać nie trzeba — od lat należy do czołowych polskich reporterów i od lat jej publikacje na łamach „Życia Literackiego” cieszą się niezmienną popularnością i zainteresowaniem czytelnika. Wśród 31 reportaży, jakie prezentuje autorka w nowym tomie znajdują się wybrane z jej wcześniejszych książek — wydanej w 1966 roku „Dziś na wakacjach” i w 1971 roku „Na wadze Temidy”, są również trzy nowe pozycje, których jedna jest poświęcona narkotykującej się młodzieży, druga — głoszącej sprawę o zabójstwo Jana Gerharda. „Żyli ostro. Ktoś tam kochał namiętnię, ślepo; ktoś podgarniał pod siebie pieniądze, miał ich coraz więcej, bał się wydać; ktoś bawił się i pil, pil coraz więcej; ktoś biegł do kariery własnej, zżysznany, i nie chciał wiedzieć nic więcej” — tak mówi autorka o „bohaterach” swoich reportaży. Reportaże Barbary Seidler nigdy nie są tylko opisaniem przestępstwa. Autorka z pasją i dociekliwością stara się dotrzeć do przyczyn, które pchnęły człowieka, i w środowisku, które go otacza. Pokazuje ludzi z marginesu społeczeństwa, przestępców, których sprawy odbyły się głośnym echem i tych, których sprawy nie są nawet odnotowywane w prasie, bo są zwykłe, codzienne, typowe niemał. Chciałoby się napisać: jest to lektura pasjonująca. Trzeba dodać: jest to także ostrzeżenie pod adresem tych, którzy sądzą, że uda się oszukać sprawiedliwość.

B.M.

Barbara Seidler „Skłóceni z prawem”, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1972.

WARTO PRZECZYTAĆ

- Janusz Odrowąż-Pieniążek „Cocktail u księżny Georgii” Wyd. Literackie 1972 cena 10;
- Kazimierz Sławiński „Awantur powietrznych ciąg dalszy” WL, 1973 cena 10;
- N. Sherry „Wschodni świat Conrada”, Wyd. Morskie str. 330, cena 21 40.-
- J. Maciejewski „Mickiewicza wielkopolskie drogi”, Wyd. Poznańskie 1972, str. 580, 21 90.-
- K. A. Jaworski „Przełady poezji romańskiej”, Wyd. Lubelskie 1972, str. 210, cena 21 25.-
- K. Meloche „Zaproszenie do kochania”, Wyd. Lubelskie, 1972 str. 322, cena 21 20.-
- Spór o historyczną szkołę krakowską. Praca zbiorowa, Wyd. Literackie 1972, str. 350, cena 43 21.-
- Zbigniew Kwiatkowski „Z załkówek i gościńców”, Wyd. Literackie, str. 225, cena 21 20.-
- Matylda Welna „Cocktail narodowy”, Wyd. Lubelskie, str. 188, cena 21 14.-

Dziś nikogo nie zdziwi ani nie obrazi nagość „ojca swego”. W blokowanych M-3, czy nawet M-5 trudno wstydliwie uchować nagość przed oczami członków rodziny. Zmieniła się, już zresztą dawno, kwalifikacja chamstwa: biblijny Cham, syn Noego, zbezczescił bluzniczo podglądającym okiem honor ojca, głowy rodu, za co został on — i jego pokolenie — przeklęty na wieki, gdyż Noe rzekł: „Przeklęty Chanaan, sługa sług braci swojej będzie”. Przekleństwo Noego było niczym innym jak pierwszym podziałem, rozróżnianym panów i chamów. I odtąd, przez całe wieki, pojęcie: cham oznaczało kogoś, kto nie ma szczęścia być do b r z e urodzonym.

Nasza literatura dworska dokładnie określa to pojęcie. Do pierwszej wojny światowej nie znajdziemy ani jednego przykładu (lub bardzo niewiele), by epitet: cham został użyty w stosunku do kogoś ze sfer „szlachetnie” urodzonych. Szlachcie mógł być grubianinem, prostakiem, analfabeta, ale nigdy — chamem. „Przystojny cham” — będzie mówił Franciszka z „Chama” Elżby Orzeszkowej, mimo, że sama służy u państwa, to wychodząc za swego chama, popełni szalony megalizans.

Konflikt chama jako człowieka źle urodzonego często stanowi fabułę polskiej powieści XIX-wiecznej. Stanisław Wokulski musi przegrać, ponieważ przechodząc do klasy kupieckiej zdradził szlachectwo. Nobilitacja klasowa dla człowieka źle urodzonego stanowiła drogę nie do sforsowania; i jeszcze przed ostatnią wojną nie zawsze

mogło zdawać, sprowadza się do podawanego przez Słownik Wyrazów Obcych zakresu znaczeniowego: cham — grubianin, człówek ordynarny. Chamstwo jest więc negatywną cechą charakteru. O czymś chamstwie rozstrzyga brak osobistej kultury. (Nie mylić z brakiem towarzyskiej ogłady, o którą dba Kamiński z „Przekroju”).

Jeżeli kierowca ciężarówki „Star” wymusza na pasach pierwszeństwo przejazdu, zmuszając pieszych, abyśmy w miejscu wyznaczonym dla nas pedzili na łeb na szyję wprost pod drugi, nadjeżdżający z przeciwnej strony „polski fiat”, który również nie zamierza zwolnić, to do myślam się, że obaj kierowcy nie tylko nie znają przepisów drogowych, ale wykazują całkowity brak kultury osobistej.

„A ujrawszy Cham, ojciec Chanaanów, nagość ojca swego, oznajmił to dwóm braciom swoim na dworze. Tedy wziąwszy Sem i Jafet szatę, a włożywszy ją na oba ramiona swe, szli wspak i zakryli nagość ojca swego, a oblicza ich odwrócone były, że nagości ojca swego nie widzieli”.

wobec niej w identycznej zależności jak od kierowcy „stara”, czy „fiata” — zdani na łaskę: bezbronni. Jeżeli prezes jakiegś Spółdzielni czy Inny Ważny Człowiek na Stanowisku Przyjmuje interesantów i załatwia ich życiowe sprawy nie prosząc, aby usiedli, a sam siedzi wygodnie za osłoną Ważnego Biurka — wychodzimy nie tylko z poczuciem, iż jesteśmy niedanym pyłem, marnymi robakami, lecz wychodzimy również z poczuciem, że Bardzo Ważny Człowiek jest pospolitym chamelem. Niestety, silniejszym od nas.

Jeżeli ekspedientka ze sklepu reżimowego MHD oświadcza klientce, że jeśli się nie podoba, może nie kupować... Jeżeli kierowca PKS rusza z przystanku, bo mu się nie chce czekać, aż wszyscy wsiaią... Jeżeli ktokolwiek inny, gdziekolwiek indziej wykorzystuje swoją siłę z racji wykonywanego zawodu, lub stanowiska — wtedy mówimy: cham, chamstwo, cóż za chamstwo dzisiaj.

Jedynie skutkiem, a nie przyczyną. Jest skutkiem chamstwa. Chamstwo ekspedientki — jest — być może, jej negatywną cechą charakteru. Chamstwo ekspedientek w dziedzinie życia społecznego. I jak każde zjawisko, posiada swoje skutki. Chamstwo się bowiem uogólnia. Chamstwo zabija ludzi na pasach; chamstwo w sklepach i urzędach wywołuje niezadowolone. Niezadowolone może być czasem groźne.

W naszym ustroju nie istnieje nierówności społeczne. Ale istnieje coś takiego, jak zależność od kelnera, kierowcy, ekspedientki, urzędnika, prezesa, dyrektora. Zależność właściwie niekonfliktowa: przywiłaje klientów, potentów, konsumentów, interesantów — oby wateł — są równe i zastrzeżone. Regulowane przepisami. Lekarz w ubezpieczalni przyjmuje od — do.

CHAMSTWO NA CO DZIEŃ

Wystarczył nawet cenzus wykształcenia, aby taką nobilitację z chama na pana otrzymać. A i dziś, w głębokim przekonaniu pewnej części starszego pokolenia pokutuje pogardliwe porzekadło: „A cham zawsze chamelem zostanie”.

Są od nas w swoich marzeniach silniejsi — a wykorzystywanie siły w stosunku do słabszego zawsze było, jest i będzie widomą oznaką wewnętrznego grubiaństwa czyli chamstwa.

Jeżeli w otkienku numer dwa jakiegś szanownego Urzędu pani, robiąca sobie manicure, zatrzaśnie przed nosami piętnastometrowej kolejkę potentów swoje okienko, wywieszając informację (albo i nie): ZARAZ WRACAM — odczujemy jej zachowanie nie tylko jako lekceważący zakres obowiązków służbowych, lecz głównie — jako objaw osobistego braku kultury. I chociaż owa pani z okienka numer dwa nie siedzi za osłoną ileś tam tonowej maszyny — to jednak my pozostajemy

Kelner, który bije po twarzy konsumenta, jest chuliganem, a nie chamelem i odpowiada za pobite z odpowiedzialnego paragrafu Kodeksu Karnego.

Codziennie biją nas: potentów, interesantów, klientów, konsumentów — po twarzy. Chamstwo wynikające z relacji zależności jest niczym innym, jak biciem w twarz. Jest obelgą. Obelga ani chamstwo nie są karalne.

Jeżeli na przejściu dla pieszych ginie pod kołami człowieka (patrz statystykę!) — mówi się nie o chamstwie, lecz o piractwie drogowym. Tymczasem to piractwo jest

Interesantów załatwia się w godzinach od—do. Wszystkie skargi i zażalenia przyjmuje dyrektor w poniedziałki lub soboty od—do. Pieszy, znajdujący się na pasach ruchu ma pierwszeństwo przejścia w stosunku do jadących wozów. Ma. Uregulowane, zastrzeżone. Prawo, przywiłaje. Nie ma go poza pasami. Pieszy ginie w uprzywilejowanym miejscu. Ląb schodzi na jezdnię tam, gdzie mu się podoba.

Według Słownika Wyrazów Obcych chamem jest człowiek grubiański, ordynarny. Kto dzisiaj jest chamelem?

EWA OSTROWSKA

Kształcenie nowoczesne

Z inicjatywy Biura Politycznego KC PZPR Minister Oświaty i Szkolnictwa Wyższego powołał 31 stycznia 1971 r. Komitet Ekspertów do opracowania raportu o stanie oświaty w PRL. Po prawie dwuletniej pracy Komitet Ekspertów przedłożył obszerny raport, który przedstawia projekt realizacji powszechnego wykształcenia średniego, zapowiedziany decyzjami VI Zjazdu PZPR. Propozycje Komitetu Ekspertów mają na względzie przyspieszenie rozwoju społecznego i gospodarczego kraju poprzez podniesienie ogólnego zakresu wykształcenia do poziomu średniego. Równocześnie postulatem jest realizacja tzw. „kształcenia ustawicznego”, które ma objąć wszystkich pracowników gospodarki uspołecznionej, a więc zarówno nauczycieli, jak i inżynierów, techników i urzędników.

Zadaniem „kształcenia ustawicznego” jest podnoszenie i rozwijanie kwalifikacji pracowników, przygotowanie ich do włączenia się w proces rewolucji naukowo-technicznej, przyspieszający budownictwo socjalistyczne. Komitet Ekspertów przedstawił kilka wariantów wprowadzenia w życie zarówno powszechnego średniego wykształcenia, jak i „kształcenia ustawicznego”. Realizacja obu zadań będzie przede wszystkim uzależniona od dokształcenia kadry nauczycielskiej i pracowników naukowych i przede wszystkim od zmodernizowania wyposażenia szkół.

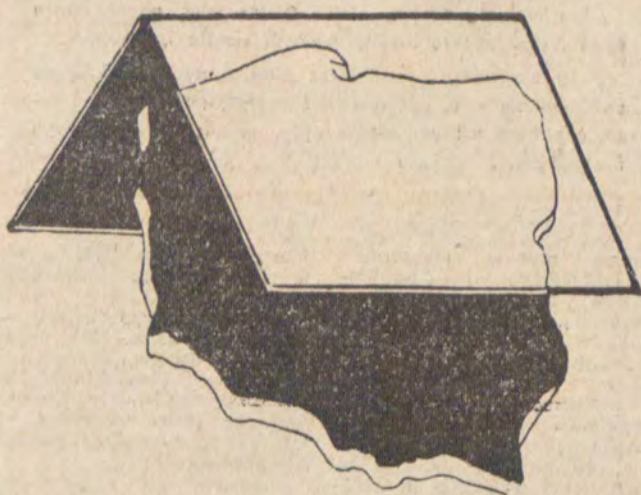
Wykształcenie i dokształcenie kadry nauczycielskiej będzie wymagało dużego wysiłku ze strony szkół wyższych, które w zakresie szeregu dyscyplin nie posiadają wystarczającej

ilości samodzielnych pracowników naukowych, a zajęcia coraz częściej są powierzane asystentom, którzy są dopiero na etapie przygotowania prac doktorskich. Kursy organizowane dotychczas przez Ośrodki Metodyczne były doraźnym klajstrowaniem istniejącej sytuacji. Wyjaśniali szczegółowe problemy i zagadnienia; na pewno przyczynili się do szerszego opanowania przez nauczycieli wiadomości z zakresu wybranych tematów, lecz nie dawały nowoczesnej wiedzy w całości i jej postępu.

Od nowego roku szkolnego uniwersytety uruchomią szereg kursów dokształcających dla

nauczycieli. Wydaje się konieczne, by cykle przedmiotowe powierzyć najlepszym specjalistom w danych ośrodkach, by poprzez rozbudzenie zainteresowań zachęcić do samokształcenia, które jest dla nauczyciela tak samo konieczne, jak i przygotowanie się do bieżącej lekcji. Przed dwustu laty działacza Komisji Edukacji Narodowej wbrew przeszkodom torował drogę do nowoczesnej oświaty. Dzisiaj my, mając niewspółmiernie łatwiejsze warunki, musimy wcielić w życie system oświatowy — wychowawczy na miarę epoki rewolucji naukowej — technicznej, realizującej socjalizm.

WŁADYSŁAW BORTNOWSKI



KLUCZE I KŁOPOTY

Pod hasłem: „NASZE MIESZKANIA” będziemy publikowali artykuły, wypowiedzi i listy Czytelników o naszym powszednim problemie nr 1 — o tym jak mieszkamy, jak chcemy mieszkać, jak możemy mieszkać i jak będziemy mieszkać. Przed kilkoma tygodniami opublikowaliśmy redakcyjną rozmowę z przedstawicielami łódzkich spółdzielni mieszkaniowych: „Bawelny”, „Lokatora” i „Polesia”. Obecnie postanowiliśmy oddać głos członkom RSM „Bawelna” i RSM „Polesie”, którzy niedawno wprowadzili się do nowych bloków na Zarzewie i Retkini.

Wszystkim naszym rozmówcom zadaliśmy jedno tylko pytanie: **JAKIE BYŁY PIERWSZE WRAŻENIA PO WPROWADZENIU SIĘ DO NOWEGO MIESZKANIA?**

Mistrz z Zakładów Przemysłu Dzierwiarskiego „Lido”, zamieszkały w nowym wieżowcu przy ul. Tatrzańskiej 37/41, VI piętro: — Klucze do mieszkania otrzymałem przed tygodniem, a wprowadziliśmy się przed pięcioma dniami. Nowe mieszkanie bardzo mi się podoba, jest rozkładowe, ma ładną kuchnię, ale przez cały czas nie mamy gazu. Dzisiaj właśnie był pracownik administracji i stwierdził, że licznik od gazu jest zablokowany, bo gdzieś są uszkodzone przewody. Wodę gotujemy grzałką elektryczną, a jeść chodzimy do miasta.

W łazience mamy przecieki, a poza tym woda jest chłodna. Żeby umyć się, albo umyć naczynia trzeba grzać wodę grzał-

ką elektryczną. Jest to wszystko bardzo męczące i denerwujące. Na nowe mieszkanie czekaliśmy pięć lat. Teraz już je mamy, ale nie możemy w nim zagospodarować się w taki sposób, w jaki byśmy chcieli.

Pracownica Zjednoczenia Przemysłu Maszyn Włókienniczych „Polmatex”, mieszkanka nowego wieżowca przy ul. Tatrzańskiej 37/41, IX piętro: — Pierwsze wrażenia? Bardzo różne. Na pewno radość, że to oczekiwane mieszkanie już jest. Przychodziłam przecież na budowę, aby popatrzeć, jak postępują prace. I na pewno trochę rozczarowań, choć tłumaczę sobie to tym, że w

takim dużym domu, a jest tu prawie 300 mieszkań, nie wszystko może być zaپیęte na ostatni guzik.

Przed wszystkim otoczenie. Okropne dojście do administracji, po rozkopanej ziemi, po błocie. Tak samo trzeba iść do sklepu. Wokoło bloku też wszędzie pełno błota. Rozumiem, że tu się jeszcze buduje, że na uporządkowanie terenu osiedla przyjdzie czas, ale myślę, że jakieś trwalsze przejścia na czas budowy też można zrobić.

Do nowego mieszkania przeprowadzam się etapami. Część rzeczy już przywiozłam, resztę później, już po przygotowaniu mieszkania, po zrobieniu porządku i niezbędnych innowacji. Ale z niepokojem myślę o tym drugim etapie sprowadzania mebli, bo za pierwszym razem mieliśmy takie szczęście, że gdy samochód stanął pod klatką schodową, to w całym bloku stanęły też windy. Ich naprawa trwała kilka godzin. Ludzie wprowadzający się tego dnia, przez te kilka godzin stali pod blokiem. Czy taka sytuacja nie może się powtórzyć?

Samo mieszkanie, choć wykańczane pośpiesznie, nie ma większych braków, tylko okna są nieszczelne, drzwi

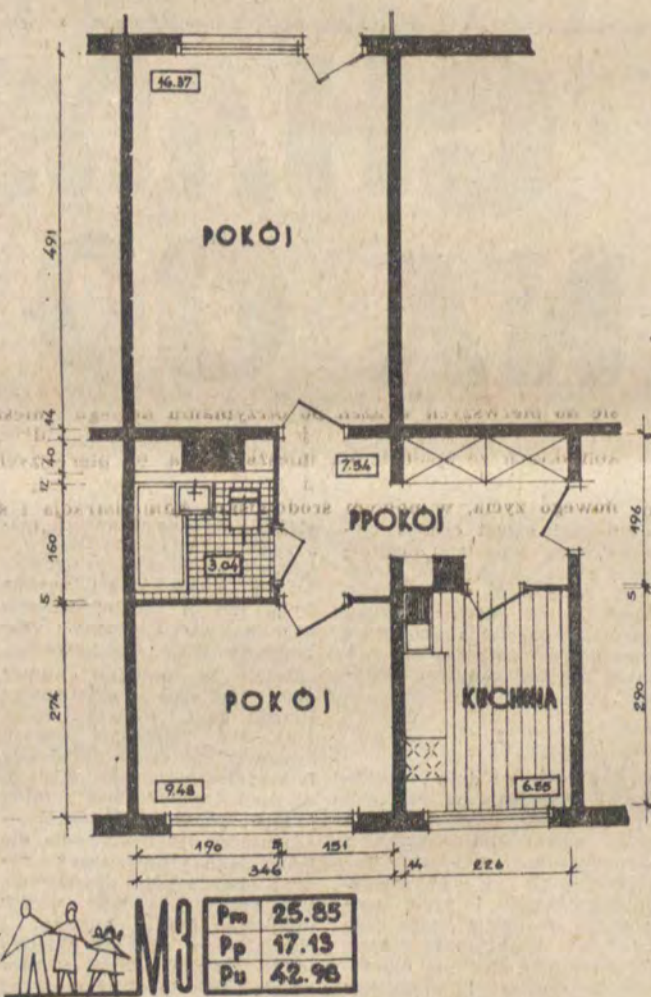
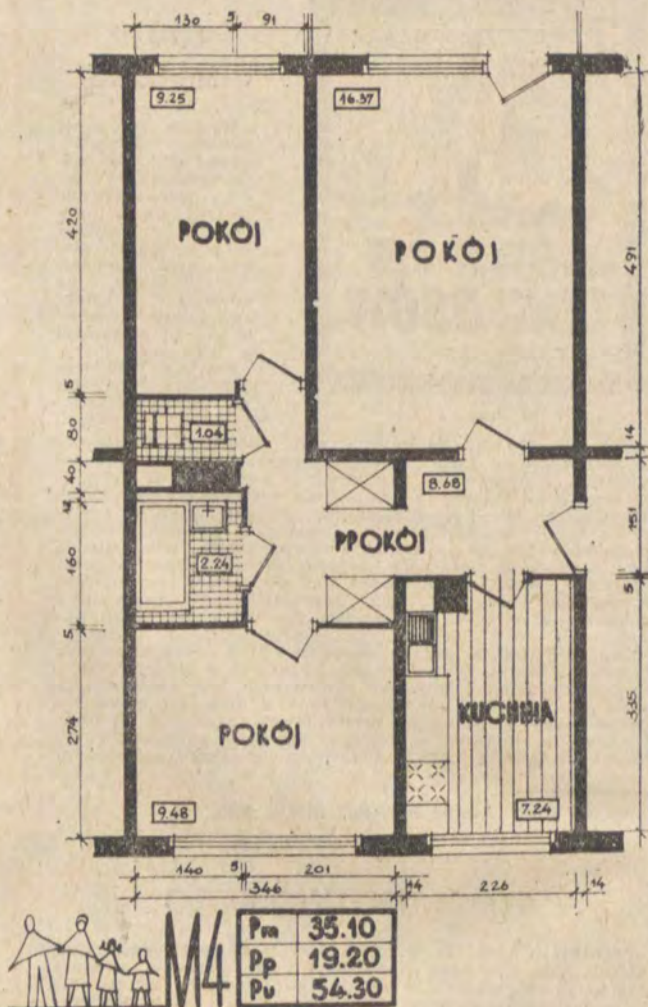
również. Woda ciepła nie zawsze dociera do nas na górę.

Co jeszcze z pierwszych wrażeń? Woda w piwnicy. Zresztą występuje nie tylko w naszym bloku. Trudno mi powiedzieć skąd się bierze, czy to rury pękają, czy też jest to woda gruntowa. I jeszcze wandalizm pierwszych lokatorów. Pourywane klamki w zsykach na śmiecie, powijmowane ze ścian elektryczne kontakty — widocznie komuś były potrzebne. Ale czy tak powinno być?...

Pracownica jednego z zakładów przemysłu włókiennego, mieszkanka tego samego bloku przy ul. Tatrzańskiej 37/41, X piętro: — Miałam bardzo dużo pracy przy doprowadzeniu mieszkania do porządku. Właśnie skończyłam czyścić podłogę. Mam już kuchnię urządzone. Zdecydowałam się na przestawienie kuchenki gazowej pod tę ścianę, na której jest zlewomywak. Moim zdaniem tak trzeba ją ustawić — i tak robi wiele osób — bo to pozwala lepiej wykorzystywać miejsce w kuchni, którego i tak nie jest zbyt wiele.

Zdecydowałam się też na

PLANY MIESZKAŃ W SYSTEMIE „DĄBROWA 70”



przestawienie drzwi od kuchni i małego pokoju. Sądzę, że projektanci mogliby zasięgnąć opinii mieszkańców w tej sprawie, bo wiem, że wiele osób po wprowadzeniu się przestawia tak drzwi, aby otwierały się na przedpokój, a nie odwrotnie, jak jest obecnie. Ogranicza to właściwe wykorzystanie powierzchni pokoju i kuchni, a także narzuca na wyższe koszty urządzenia mieszkań.

Mieszkanie mam szczytowe i dlatego są silniejsze kaloryfery. Na początku było ciepło, a teraz zrobiło się chłodniej. Myślę, że to chwilowo, ale też i administracja powinna bardziej interesować się tym, co dzieje się w bloku, bo bieganie z każdą drobnostką jest i kłopotliwe, i zabiera dużo czasu.

Jerzy Właźniak — pracownik „Stomilu”, osiedle RETKINIA, ul. Zawodnicza 41 m. 19: — Mieszkamy już przeszło pół roku, bo od czerwca 1972. Wielkich kłopotów nie mieliśmy, ale też nikt nie pomagał nam w ich przezwyciężaniu. W drugim pokoju mamy przeciek. Zgłosiłem w administracji, czekałem miesiąc i nikt nie przyszedł. Poszedłem tam znów. Okazało się, że zmieniła się kierowniczką. O

zgłoszeniu nic nie wiedziała. Zgłosiłem ponownie, ale z takim samym skutkiem. Przychodził też kierownik budowy, oglądał sufit, kiwał głową i doszedł do wniosku, że coś tam musiało pozostać i kapie, ale jak się wykapie, to będzie spokój. Rzeczywiście po jakimś czasie przestało kapać z sufitu. Teraz znów kapie. Podstawiliśmy w tym miejscu miseczkę, wyłożyliśmy ją ligniną i tak czekamy, co będzie dalej.

Zacięło się okno balkonowe. Też zgłosiłem w administracji. Też czekałem. Nikt nie przyszedł. Wobec tego sam zreperowałem. Było to pół roku temu. Do tej pory nikt nie przyszedł. Jedyne kiedy okna przeciekały, to szybko przyszli i naprawili.

Wydaje się, że właśnie na Retkini, która jest w rozbudowie, kontakt administracji z lokatorami powinien być szczególnie bliski. Przykład — stale podłącza się nowe bloki do sieci wodociągowej lub gazowej. Na ten czas reszta osiedla nie ma albo gazu, albo wody. Ale nikt nas o tym nie uprzedza. Wprawdzie nie słyszałem, aby ktoś namydlony pozostał w wannie, nie mogąc się oplukać, ale kilka razy już zdarzyło się nam, że musieliśmy iść do miasta na o-

GRANDOLOGIA (II)

(Dalszy ciąg ze str. 1)

wierzyli. Z kolei Jarema, widząc, że ekipa wypełnia polecenia „reżysera”, też mu uwierzył.

— Otarł się on chociaż o szkole filmową?

— Skąd! Wywalili matola z siódmej klasy.

— A z czego on żyje?

— No, różnie... W gruncie rzeczy jest na utrzymaniu ojca — rencisty.

Okolo wpół do piątej kawiarnia znowu się zaludnia. Albowiem nadchodzi pora wieczornych udój. Wracają do stolików ufryzowane panienki. Swinguje w przejściu Krępy Bolo. Stadka ptaków — dziwaków obsiadają wolne grzędę. Jest dużo spokojniej niż w południe. Powolne gesty, wizyto-

we stroje. Atmosfera ma coś w sobie z pogodnego, niedzielnego przedpołudnia, kiedy to w „Grandzie” nie brakuje czegodnego mieszczanstwa: wyfiokowanych matron z córeczkami, młodych małżeństw, które raz na tydzień „muszą się pokazać”, gładko wygolonych panów z „Przekrojem” pod pachą i zagranicznymi papierosami w ręce... Ale w powietrzu wibrują nieuchwytnie napięcia. W gruncie rzeczy — zaczyna się wielkie safari. Pary, albo i liczniejsze grupy, układają nocny rozkład zajęć. Rajfurzy uczulają swoje damy na samotnych cudzoziemców.

A co w tym czasie dzieje się w hotelu?

Śmieszne! Zanim pierwsza część „Grandologii” ukazała się w druku (którą

jednakże poprzedzała lakoniczna zapowiedź redakcji), rozdzwoniły się w „Ogłoszeniach” telefony i poczęły napływać listy, kłnące tę instytucję w żywe kamienie.

„Proszę napisać, obywatelu redaktorze, o tych wszystkich nieprawościach, szwindlach z załatwianiem pokoi i grubiaństwie personelu”. Mieszkaniec Kalisza (nazwisko znane redakcji) donosi: (...) Często bywam w różnych hotelach Europy i Polski, ale takiego niechlujstwa jak w Łodzi nie ma nigdzie. Zwracałem na ten fakt uwagę Dyrekcji „Orbisu” w Warszawie, ale nie się nie zmieniło. Gdy przyjeżdżam po godz. 2. w nocy do „Grandu” z gośćmi zagranicznymi, wychodzi ubrudzony, przyodziany w robocze ubranie bagażowy, któremu akurat przerwaliśmy sprzątnięcie hoiu, więc nie dziw-

nego, że jego ręce są czarne. Gdzie jego uniform służbowy? Gdzie czysta koszula? Dlaczego ciągle musimy się za takich ludzi wstydzić?..”

Są to oczywiście niewinne pretensje człowieka, który z „Grand Hotelem” ma do czynienia raz w roku. Nieuczciwi i opieczętani kelnerzy, przecherni recepcjoniści, nachalni windziarze, kierownik sali, który w mojej obecności, a było to w sześćdziesiątym siódmym, osłaniał pijanego i bluźniącego na całe gardło kumpla, nie chcąc podać jego nazwiska i wezwać milicji; szef kawiarni, który przegonił mnie od pustego stolika w chwili, kiedy zamawiałem wodę sodową do popicia proszka, a kiedy dowiedział się, że jestem z prasy i poprosił o książkę zażaleń, czmy-

chnął jak niegrzeczny chłopczyk do jakiejś norki i w żaden sposób nie mogłem go znaleźć; psujące się windy, nieogrzone pokoje — wszystko to jest w tym gmachu banalna, zwykła codzienność.

Próba dialogu:
— Proszę zamknąć okno!
— Dlaczego?
— Bo mi wieje po plecach. Jestem po zapaleniu płuc.

— Pani wybaczy, ale trzeba wywietrzyć pomieszczenie. A jak ktoś choruje, nie powinien przesiadywać w kawiarni.

Dość. Od godziny szóstej po południu aż do samego zamknięcia obowiązują w „Grandzie” dwudziestozłotowe karty konsumpcyjne, dzięki czemu tylko cudzoziemcy, rajfurzy i dziewczęta mogą wchodzić do środka na gape. Jest to pora najuboższa w gości i tak nostalgiczna, że można oddać się wspomnieniom...

Próba dialogu:
— Panie, tu kiedyś były dupki!
— Mnie pan idziesz mó-

wić? Taka Sylwia! Do Argentyny weszłym roku wyjechała. Miała trochę wylupiane oczy, ale nogi — cycus!

— A Lucynka? Zaczęła tu urzędować jak tylko skończyła szesnaste lat. Kombinowała na zmianę z „inicjatywą” i z muzykami. Później wydała się legalnie za mąż i jest teraz najlepszą i najuczciwszą żoną.

— A Basiulka? W Holandii wylądowała u bogatego fabrykanta. Kiedy przyjechali do rodziny z wizytą, cały dom na Widzewie pił szampa.

— Renata jest w Szwecji.
— Irka w Finlandii.
— Bożena w Danii.
— Micia też w Danii, ale przejściowo. Wyprowadza się wiosną do Brukseli.

— Najlepszy numer wykreślił Dominika. Rozwiodła się z jakimś francuskim Arabem i wyszła za jego brata, który handluje narkotykami w Marsylii. A kiedy ten facet trafił do pudła, wyczyszcila mu podobno z szczeniem mieszkanie i pisze

biad, bo nie było jak go ugotować w domu.

A przecież administracja jeśli chce to wiele może zrobić. Swego czasu, kiedy osiedle zwiedzali przedstawiciele partii i rządu, to przed blokiem znalazły się krzewy drzewa i był porządek. W następnych dniach wszystko uprzętnięto, tylko błoto pozostało.

Wiesław Kruszczyński, osiedle Retkinia, ul. Olimpijska 3 m. 40: — To jest czwarte, ostatnie piętro i występuje u mnie często spotykana na Retkini kłeska przecieków. Byli tu już ze spółdzielni, przychodzili inni i z ich wypowiedzi odniosłem wrażenie, że woda musi ściekać. Tylko skąd ona bierze się pod dachem? Można się domyślać, że blok paruje i para skrapla się pod dachem. Ale to tylko moje przypuszczenia. Mamy mokre sufity. Woda ścieka kanałami na przewody elektryczne. Ciągle boję się, że może nastąpić porażenie prądem elektrycznym, choć przedstawiciel wykonawcy zapewniał, że przewody są izolowane i nie się nie stanie.

Mieszkamy tu od grudnia ubiegłego roku. To niby niedługo, a blok jest nowy i już po kątach tworzy się wilgoć. Oglądali to przedstawiciele spółdzielni i też się dziwili.

Dziesięć Walczak, osiedle Retkinia: — Nie mogę narzekać na mieszkanie. Jakichś większych niedopatrzeń nie ma. Są natomiast drobniaki. Budowlanym zabrakło płytek pcv na podłogę w jednym kolorze, położyli więc kilka w innym. Niby nie, a wygląda nieładnie. Tak samo jest z posadzką w łazience.

Pod wanną umieszczono grzejnik centralnego ogrzewania. Zupełnie nie wiem, dlaczego właśnie tam, to już pomysł konstruktorów, ale grzejnik cały czas jest letni. I tak jest niemal w całym bloku. Jak się orientuje, to chyba tylko w trzech mieszkaniach grzejniki w łazience spełniają swoją rolę. U nas w łazience jest zimno, mamy kłopoty z kapaniem dziecka.

Jak się człowiek wprowadza do nowego mieszkania, to musi zrobić porządek. To zrozumiałe. Sporo napracowaliśmy się, aby mieszkanie uporządkować. Myślę, że budowlani mogliby wykazywać jednak więcej dbałości o czystość oddawanych mieszkań. Zona sprząając po nich łazienkę wyniosła kilka wia-

der gruzu i osiem... butelek po wódce. Wszystko było przemysłnie schowane pod wanną.

I jeszcze jedna wypowiedź, tym razem Jadwigi S. spotkanej w pomieszczeniu administracji osiedla Zarzew, przy ul. Tatrzńskiej 63. Jadwiga S. dopiero będzie lokatorką nowego mieszkania, na razie jest członkiem spółdzielni:

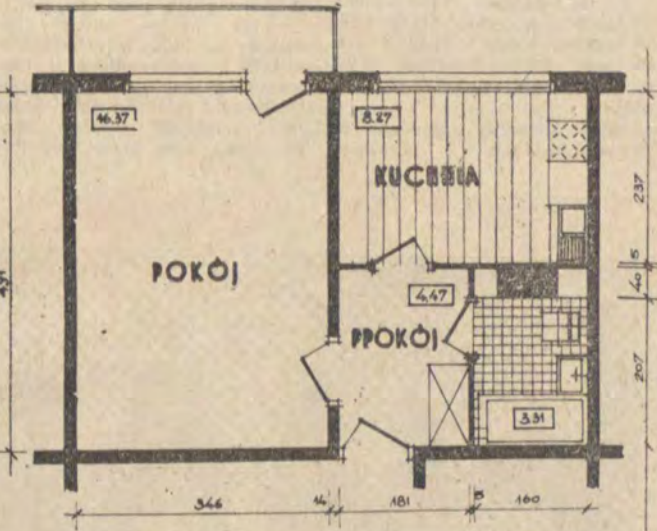
— Nie widziałam jeszcze swego mieszkania, chociaż decyzję na nie otrzymałam już przeszło tydzień temu. Przez ten czas parokrotnie trafiał mnie szlag, bo biegająca po różne papierki może obrzydzić fakt, że nareszcie mam mieszkanie. Nie chcę wyliczać moich kilkakrotnych wizyt w spółdzielni, bo to decyzja była jeszcze nie podpisana, to później musiałam likwidować książeczkę mieszkaniową PKO, co trwało dość długo, przynieść zaświadczenie z kwaterunku, stać w kolejce pod jednymi drzwiami, drugimi, trzecimi...

I wreszcie pojechałam do administracji z nadzieją, że już otrzymam klucz. W spółdzielni nikt mi nie powiedział w jakich godzinach tutaj się pracuje. Przyjechałam daremnie. Przedtem jeszcze pół godziny szukałam pomieszczeń administracji, bo przemysłnie schowano ją w pawilonie handlowym, a nikomu nie przyszło do głowy, aby umieścić tablice informacyjne. Kiedy już znalazłam administrację, okazało się, że w piątek nie meldują, a więc i nie wydają kluczy. Przyjechałam w poniedziałek, ale dostałam tylko przekaz na zapłacenie czynszu. Tak więc już zapłaciłam czynsz — na poczcie zresztą — za mieszkanie, którego jeszcze nie mam i którego nie widziałam na oczy. Może jeszcze w ciemno każą mi podpisać zaświadczenie, że w mieszkaniu nie ma usterek, jak to ktoś mi już o czymś takim opowiadał.

Już kilka razy zwalniam się z pracy. Jak do tej pory niewiele załatwiłam. I dlatego pytam, czy nie można w spółdzielni wywieścić informacji o godzinach pracy administracji? Czy wraz z decyzją nie można otrzymać kompletu druczków do wypełnienia i popłacenia? Czy w lokalu administracji nie można zapłacić pierwszego czynszu, jeśli już koniecznie najpierw trzeba zapłacić za coś, czego jeszcze się nie widziało i czego nie ma. I wreszcie, czy człowiek za własne pieniądze musi czuć się w spółdzielni jak intruz?

To nie przypadek zrzucił, że moi rozmówcy mieli sporo uwag krytycznych, że radość z nowego mieszkania przysłoniła im „usterkowe” kłopoty. Sporo usterek bierze się z szybkiego tempa budowy, z nierytmicznej pracy, kiedy gwałtownie trzeba wykańczać budynki, aby oddać je w uzgodnionym terminie. Sporo usterek bierze się też ze zwykłego niedbalstwa. I to jest jeden kompleks przyczyn, które przysyłają radość, jaką powinno dawać nowe mieszkanie. Do spraw tych powrócimy w osobnym artykule — do dyskusji zaprosimy budowlanych, tych, którzy odpowiadają za jakość naszych nowych mieszkań.

Wyjątkowo jednak irytujące są kłopoty członków spółdzielni, związane z tzw. załatwianiem. Brak dobrej organizacji pracy, właściwej informacji, brak szacunku dla ludzi i ich czasu. Można przecież skrócić i usprawnić cały ten długi korowód kilkakrotnych wizyt w spółdzielni i administracji. Nie potrzeba do tego ani dodatkowych kosztów, ani nakładów inwestycyjnych. Wystarczy dobra wola i taka organizacja pracy, w której weźmie się pod uwagę także interesy członka spółdzielni.



W prezentowanych wyżej wypowiedziach ograniczyłam się do pierwszych wrażeń po otrzymaniu nowego mieszkania. Do uwag, jakie nasuwają się spółdzielcom po bliższych kontaktach ze spółdzielnią mieszkaniową, po pierwszych — z administracją osiedla. Jest to okres organizowania sobie nowego życia, w nowym środowisku. Administracja i spółdzielnia powinny w tym pomagać członkom spółdzielni. Tymczasem u spółdzielcy powstaje i utrwała się przekonanie, że jest utciążliwym petentem, który przeszkadza komuś w pracy. Że jest tylko po to, żeby regulował należności finansowe. Takie opinie słyszałam niestety zbyt często.

Opracowała: BOGDA MADEJ

KOMUNIKAT

Jury konkursu, organizowanego przez RSM „Bawelna” i „Odgłosy” podjęło następującą decyzję. Postanowiono przyznać:

- dwie drugie, równorzędne nagrody, które otrzymali: Wacław Pawlak i Eugeniusz Wojch.
- trzecią nagrodę przyznano Sewerynowi Brykalskiemu
- wyróżnienie — Magdalenie Czarstce.

Nagrodzone i wyróżnione prace opublikujemy w najbliższych numerach „Odgłosów”.

teraz listy do Jasi z jakiegoś wioskowego miasteczka.

— Lidka jest pornograficzną modelką w Enerefie. Narzeka. Chce wyjechać na stałe do Kanady.

— Zośkę pan znał? Jej mąż, Marokanczyk, powiedział trzy razy — precz! i została rozwódką. Ale taką rozwódką, co to w dalszym ciągu należy do swego męża i on z nią wszystko może zrobić, nawet ją sprzedać. I nie ma dla niej żadnego ratunku, ponieważ po ślubie musiała przyjąć obce obywatelstwo, a takich nie wypuszczają się z Maroka bez zgody „rodziny”.

— To samo jest w Algierii. Pod naszą ambasadą stoi wiele zaplakanych Polek, które chciałyby wrócić do kraju. Mimo szczyrych chęci, nikt nie jest w stanie im pomóc, ponieważ w świetle przepisów są teraz „Arabkami” i należą wyłącznie do męża, który ma prawo orzec w nie, jak w robocze woli.

— Przykre.

— Cholernie przykre! To były kiedyś naprawdę piękne dziewczyny. A teraz... Mój kolega spotkał jedną taką, kiedy jeździł z wyścigówką po Algierii... Była w długiej, białej szacie i miała zawaolowaną twarz, i kiedy z nim rozmawiała w jakimś zaułku, trzęsła się formalnie ze strachu, że zobaczy ją ktoś ze znajomych męża. Nie skończyła jeszcze dwudziestu sześciu lat, a wyglądała na czterdzielcioletnią, pomarszczoną, chuda, z powykręcanyimi od prania i innych ciężkich robot rękami. Wie pan, o co go prosila? Zeby się z nią ożenił. Wtedy znówu byłaby Polką i mogłaby legalnie wrócić do Łodzi.

— One wszystkie chciałyby wrócić.

— To jasne. Niech pan pocztyta ich listy. Z jednej strony próbują stwarzać po-

zory, że są milionerkami i śpią na puchowych poduszkach, z drugiej ronią łzy za najbliższymi i zapowiadają rychły przyjazd do domu.

— A z trzeciej, niech pan popatrzy, kłęją się do cudzoziemców jak muchy.

— Nie wszystkie. Te najbardziej i najważniejsze wiążą swoje ambicje z krajem. Ich celem jest wyjazd do Warszawy.

— Fakt. Tam można zrobić w tym fachu prawdziwą karierę.

— I duże pieniądze.

— To się przecież z sobą zagażbia. Iwona już od czterech lat jest w Warszawie.

— Monika przeniosła się w zeszłym roku.

— Romka od niedawna zaczyna robić wypadki.

— Bada teren. Tak samo jak Alicja.

— Krysia też już siedzi na walizkach.

— Na pewno się przyjdzie...

— Zrozumiałe. W sobotę chłopaki widzieli ją w „Grandzie” na Kruczej. Udawała, że ich nie poznaje. Była tak obstawiona przez facetów, że nie zauważyli nawet, jak była ubrana.

A zatem wszystkie drogi wiodą do stolicy. Łódzki „Grand” zostawiam od tej chwili w spokoju. Niechże odetchną windziarze i kelnerzy. Niechże uspokoją się rajfurzy, waluciarze i szulerzy. Może również spać spokojnie Krepny Bolo. Następnie odcinę „Grandologii” zamierzam poświęcić zjawę z nierzędu „elicie” warszawskiej i jakkolwiek jestem człowiekiem skromnym, pozwolę sobie nieśmiało zauważyć, że będzie to historia dość szokująca i ciekawa.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

(dalszy ciąg wkrótce)

TRZYMAJMY KCIUKI ZA ŁKS!

Przez czterdzieści dni pobytu piłkarzy ŁKS w Jugosławii słońce nie skąpiło nam swego ciepła. Nie mieliśmy ani jednego pochmurnego dnia. Później na lotnisku w Belgradzie dowiemy się, że mieliśmy szczęście. Inne zespoły piłkarskie moczył deszcz, było wietrznie i chłodno. My trafiliśmy dobrze do hotelu o nazwie miasteczka — Porec. W sezonie od czerwca do września jeden dzień pobytu kosztuje tu 10 dolarów. My płacimy 3,5.

Pokoje stoją puste. Toteż wyjeżdżając na mecze, na dwa — trzy dni do Mariboru i Lubliany nie zabieramy bagaży. Oprócz nas mieszka tu zaledwie kilku Jugosłowian. Robotnicy brygad remontowych przeprowadzają konserwację Bazyliki Eufrazego, najcenniejszego zabytku sztuki bizantyjskiej nad całym Adriatykiem. W VI wieku na miejscu dawnych budowli sakralnych, powstałych w I wieku, za sprawą biskupa Eufrozjusza wzniesiono wspaniałą bazylikę. Trzeba to koniecznie zobaczyć. Idę. Pustki. Daremnie szukam jakiegoś kanonika. Tylko konserwatorzy pracują pod sufitem Rozstawione rusztowania psują efekt. Ale i tak jest to cudowne. Nadal nigdzie śladu gospodarza. Idę dalej. Wreszcie na tyłach pałacu biskupów słyszę szereg sekretarzy. W ogrodzie podłoga gajełki drzew, ubrane w czarne spodnie i taką samą marynarkę — kanonik.

Kanonik nie umie odpowiedzieć na pytanie. A może nie chce? Najwyraźniej chce mnie się pozbyć. Wreza mi kolorowy folder, z którego wszystkiego się dowiem. Takich kolorowych reklamówek przygotowało tysiące. Każdy z 80 hoteli ma swoją barwną wizytówkę „printed in Italy by renografica Bologna”, a w niej, na oddzielnej kartce, szczegółowe informacje. Ile kosztuje pokój jednoosobowy z WC bez balkonem, ile z balkonem, ile dwuosobowy, ile partia mini-golfa, przejazdka konno, motorówka, ile lot za motorówką na latawcu, ile skok ze spadochronu, ile masaż, ile lekcja gry w tenisa, pływania, podwodne polowanie na ryby, itd., itp... Wszystkich usług nie wypiszę. Porec, liczący 3 tysiące mieszkańców musi się przygotować na przyjęcie 80 tysięcy turystów, którym niczego nie może zabraknąć.

— Jak kto nie ma miedzi, to niech w domu siedzi! — powtarza główny dowcipista całej drużyny, Tosiek Szadkowski, oglądając te przygotowania i znajdując na każdej okazję jakąś anegdotkę. Wieczorami, gdy w telewizji nudy, tylko ze jugosłowiańskie, Szadkowski rozpoczyna swój piłkarski show. Sporo jeździł po świecie, nie jeden raz grał w reprezentacji i z tych wszystkich sportowych wojaży ma niezliczoną ilość anegdotek. Przedrzeźnia zawodników, trenerów.

Podjeżdżam, że on wymyślił większość przewisk dla poszczególnych zawodników. Wyobrażam sobie, jak by brzmiąło sprawozdanie radiowe z meczu, gdyby zamiast nazwisk wymieniano przewiska.

— Tomek (Tomaszewski) wbił piłkę do Pałki (Ostalczyk). Ten podaje do Funia (Bulzacki). Długi przerzut do Edy (Malenki), Eda do Alberta (Kasalik). Albert z powrotem do Pałki, Pałka do Moska (Drozdzowski), Mosiek strzela i ŁKS prowadzi 1:0!!!

W bramce łódzkiej następuje zmiana. Tomka zmienia Fitipaldi (Puchalski).

Byłem świadkiem powstania tego przewiska. Na przeciw hotelu, w którym mieszkała ekipa, zaparkował lunapark, to jest najwłaściwsze określenie, bo wszystko to przywozili i odwozili samochody. Tenże lunapark wśród oferowanych usług; obok strzelnicy, „automatycznych gier, miał też tor wyścigowy i 8 gokartów. Gokarty były obudowane grubą warstwą gumy, by ci, którzy zaplata w knisie 5 dinarów, mogli bez szkody dla zdrowia powodować liczne karambole. Pierwszym, który zrozumiał smak tej zabawy, był rezerwowany bramkarz Puchalski. Dostał żelaznego rumaka, dyskretnie podkrecał rurkę dostarczającą paliwo i tak podrasowany gokart na prostej wyprzedzał wszystkie pozostałe. Na zakręcie zaś Puchalski kładł się na klerownicy, wysuwał język do przodu, a gdy pojedynek był zwycięży, to przygryzał język i później, gdy pierwszy wpadał na mecie, wyrzucał triumfalnie ręce do góry.

— Jak Fitipaldi — powiedział Szadkowski. No i już Puchalski został po wsze czasy Fitipaldim.

Ale to wszystko działo się w chwilach wolnych od treningów, po dniu ciężkich ćwiczeń. Tego roku polscy footballści urządzili masowy exodus do Jugosławii. Byli tam drużyny Wisły-Kraków, Gwardii-Warszawa, Lecha-Poznań, Stali-Mielec oraz dwa zespoły łódz-

kie ŁKS i drugoligowy Widzew. ŁKS-u pobyt w Porecu był trzecim etapem przygotowań do wiosennych rozgrywek. Pierwszy etap — to obóz w Łodzi, gdzie ćwiczyli siłę, wyrabiali kondycję. Drugi etap — to Spała. Na tartanowej bieżni zespół wyrabiał sobie oraz większą sprawność i szybkość. I wreszcie przyszedł czas na kontakt z piłką. Temu właśnie ma służyć dwutygodniowe grupowanie w Porecu.

Trenowali 9 kilometrów od miejsca stałego zameldowania — w miasteczku Vrsar, urokliwej miejscinie, jak prawie każda na półwyspie Istria.

Bolsko, twarde, ziemia zorstorka, trawa szczeciasta. Ale zawodnicy z zapalem trenowali, biegali za piłką, strzelali, główkowali. Wreszcie mieli pole do gry, przestrzeń, wreszcie mogli odetchnąć pełną piersią. Widać, że byli sielkieni za piłką. Nie trzeba było namawiać ich do ćwiczeń.

Setki razy ćwiccono, jak wymanenawość przeciwnika po rzucie wolnym, bitym z okolic pola karnego. Taką sztuką własnie ŁKS zdobył bramkę już po powrocie z Jugosławii, w kontrolnym meczu ze Startem. Ale to trzy podania ćwiczone do upadłego. Aż wreszcie Mszycza, Malenki, Kasaliki i Drozdowski nauczyli się na pamięć, ile kroków i jak szybko trzeba pociąć w lewo, a potem w prawą stronę, by otrzymać podanie na czystej sirzelekiej pozycji. Zanim jednak w praktyce wszystkie zagrywki były realizowane, trener GORSKI (tak właśnie pana Kazimierza nazywają Jugosłowianie) — rano, przed zajęciami, przerabiał je na stole, używając miast zawodników żepali po wodzie mineralnej. Te pogadanki — ta teoria dźwiała a czasem i irytowała mnie. To stałe powtarzanie tych samych kaponów. Trenerzy wyjaśniali mi później, że tak długo trzeba powtarzać, by te same — zadania, tegie dostarczy do świadomości, a przez trening zagrywek na boisku — do podświadomości każdego piłkarza.

Trener Kazimierz Górski trenował z napasnikami i z drugą linią — Malenki, Kasaliki, Mszycza, Ostalczyk, Bialek, Drozdowski.

— Trzeba ich nauczyć gry bez piłki, — powtarzał. — Zawodnicy, którzy są bez piłki, muszą wychodzić na pozycje temu partnerowi, który ma piłkę przy nodze.

W teorii to jest wszystko łatwe i proste. Gorzej w praktyce. Trener Paweł Kowalski ćwiczył bramkarzy. Strzaly z bliskiej odległości, na refleks i dośrodkowania. Chwyt górnych piłek i robinsonady przy tak zwanych „szczurach”. Tomaszewski był w dobrej formie. Nie oszczędzał się. On zdawał sobie sprawę, że jest jednym i to chyba najpoważniejszym kandydatem do bronienia „polskiej świątyni” (lubie takie określenia) w meczu z Walią. Nie oszczędzał się. Bywało, że na koniec, po dwugodzinnym treningu prosił trenera, by mu strzelił 20 rzutów karnych. Ale celnych.

Dziękuję taktemu treningowi, gdy w ostatniej minucie spotkania w Lublianie sędzia podkocwał rzut karny — Paweł Kowalski mógł spokojnie powiedzieć trenerowi Górskiemu:

— Niech pan się nie martwi, Tomek to obroni.

I Kowalski miał rację.

ŁKS rozegrał w Jugosławii na cztery planowane spotkania — pięć meczów. Trzy wygrał, jeden zremisował i jeden przegrał z pierwszoligową Olimpią. Ale to spotkanie sędzia przerwał o 8 minut wcześniej, bo tak się w tym towarzyskim — przyjaźniackim meczu zawodnicy kopali, że mogło dojść do bójk, a w konsekwencji do poważnych kontuzji.

Czy wyjazd do Jugosławii był pożyteczny? Na to pytanie kibice będą miękli i odpowiedź w ciągu sezonu. Moim zdaniem te przedligowe wojaże są konieczne. Po długich, uciążliwych ćwiczeniach w ślalach, pod dachem, zawodnikom trzeba dać trochę oddechu, przestrzeń i powietrze. Piłkarze muszą poczuć smak piłki. W pilce nożnej nie ma proków.

Jak będzie dalej? Nam, sympatykom, pozostają tylko kciuki. Trzymajmy je za nasz zespół.

ZBIGNIEW WOJCIECHOWSKI

REKA

Wszyscy zazdrościliśmy wujowi tej ręki. A szczególnie pożądliwie lypały za nią oczami dziewczęta, bo była ona męską oprawą do jego twarzy. Uzupelnieniem twarzy i odwagi, podkreślonej zrosniętymi brwiami i przenikliwym spojrzeniem.

Wystarczyło wpatrzeć się w tę rękę, by zobaczyć wuja biegnącego ze staniem przez powstańczą ulicę w zgiełku kurzu i maszynowych strzałów. I choć był od nas dużo starszy, każda z naszych dziewcząt patrzyła nie na nas, lecz na niego.

— Szybciej, szybciej!

Pochylił się nieco, by zmieścić się w otworze muru.

— Za mną!

Zazdrościliśmy mu tej ręki. Trzy środkowe palce miał równiutko odstrzelone, a blizny wyglądały, jak świeżo zasypane okopy. Patrząc na tę rękę, bardziej widzieliśmy krajobrazy pełne męstwa i chwały ze szczególnym swym urokiem, niż kalestwo ręki.

Rękę jego czytało się w powojennych miesiącach, jak najładniejsze nowele Żeromskiego, jak kawałek bohater-skiej historii, zapisanej najbardziej autentycznym piśmem faktu.

I do dobrego tonu należało wypytywanie go o tę rękę, o wszystkie okoliczności towarzyszące brakowi środkowych palców. Wuj stawał się wtedy o lata młodszy, w oczach wybuchały mu granaty, a zapach prochu przyjemnie drażnił dziewczęce nozdrza.

A kim my byliśmy, znający tylko powstanie z opowiadań wuja?

* * *

Gdy znużeni już wojną wraz z jej wszystkimi wspomnieniami rozmawialiśmy o studiach i egzaminach, nie widzieliśmy już na stole ręki wuja.

Albo wuj tylko kładł ją, po prostu, na kolanach, żeby nie peszyć, żeby nie przeszkadzała swymi brakującymi palcami w dziele tworzenia i budowania od nowa. Uważał pewnie, że teraz potrzebne są nie tylko ręce, ale i każdy palec. Wzniesiona do góry ręka z dumnym okrzykiem: „za mną!” straciła już swoją użytkową aktualność. Bo mniej już było ważne, co działo się za mną, ważniejsze — co przede mną. I jak wysoko zakasać rękawy, by nie przeszkadzały napiętym w pośpiechu mięśniom.

A kim on był teraz pośród nas ze swymi brakującymi palcami i wspomnieniami, które powoli, z dnia na dzień stawały się już tylko jego prywatną własnością?...

* * *

Ręka...

Ballada o wojnie...

Ballady osnute są na starych motywach...

Ale ballady mogą być różne. Takie dziś niepewne czasy. Więc któż w tych balladach rupieżach odnajdzie fakty i motywy?

Nie wystarczy przecież sama melodia. Śpiewana przy kominku. Na nutę oszronionych lichtarzy. Bez słów.

Potrzebne są także i słowa. Wypowiedane wyraźnie i potwierdzone pieczęcią.

A ręka wuja jest jak pieczęć, tylko... tylko wystawiona in blanco. Wszystko można wpisać powyżej. Wszystko tam mogło się zdarzyć.

Naczelnik włożył okulary i przyjrzał się wujowi. Kątem oka poszukał ręki, którą wuj zrecznie ukrył. Albo z przyzwyczajenia nosił schowaną za siebie.

Coś się nie zgadza w ankiecie?

Wszystko się zgadza. W dłoni są tylko lukki. Nie wypełnione rubryki po brakujących palcach. Wolne miejsca, których nie da się już dokładnie naczelnikowi wypełnić. Ani sprawdzić.

Ręka... Ballada... Ale ballady osnute są na starych motywach, więc któż w tych rupieżach odnajdzie fakty? A na dłoni, jak w ankiecie, nie może być nie wypełnionych miejsc.

Bo sama melodia zawsze jest podejrzana. Kto może wiedzieć, jakie tam mogą być słowa?

I która to właściwie ręka? Lewa?... Prawa?... Też żadnej pewności nie ma... Od strony wuja — prawa, ale jeśli popatrzyć na nią od strony naczelnika? Albo z boku?...

A od góry?...

Naczelnik woli sprawy proste. Jednoznaczne. Mające nogi i ręce. I wszystkie palce.

— Niestety. Bardzo mi przykro. Ale chwilowo nie mamy wolnych etatów.

* * *

A potem ręka była już niegroźna i można ją było pokazywać. I jakby na nią nie patrzeć — zawsze była to ta sama ręka. Po prostu — ludzka.

Tyle, że już nieciekawia. Stare melodie z podniesioną w górę ręką stały się już okropnie nie modne.

Ze starych rzeczy modne są dziś tylko stare zegary. Z kukułką. Z grającą pozytywką. Ale bez tych już wzniosłych rąk na końcu muzycznej frazy.

A starej ręki nie można już wymienić nawet na wspomnienia. Blizny porosły mchem. Przeorano je, zabudowano. Dzieciaki też już zapomniały.

Ale gdyby tak między tymi brakującymi palcami rozwiesić hamak? — wspaniale by się tam mogli हुआ wnukowie. Byłby wreszcie jakiś pożytek z ręki wuja — dziadka.

Taki obrazek: pełnia ziemi, po nagłych roztopach schwylił mróz i spadły obfite śniegi. Za oknem pociągu elektrycznego, który z trudem przedziera się przez zasy, dostrzegam stądka zamrażających kuropatw. Jacys ludzie brną po głębokim śniegu i zbierają te wysuszone z głodu płatki do worka. Nie wiem, co można robić z kuropatwy, na której nie zostało mięsa. Może z ich pierza sypie się poduszki lub wiejskie pierzyny?

Zbliża się wieczór, włączono światła wywołując przytulność i uczucie bezpieczeństwa. Suniemy pod ciężkim, niskim i nieprzychylnym niebem, które tuż obok, poza śnieżną zastoną dotyka ziemi.

W wagonie jest cisza, pasażerowie drzemą w gorącym zaduchu, jakby buchające z grzejników ciepło wywołowało w nich nagłe poczucie bezpieczeństwa. Już zdążyli zapomnieć o długich minutach, w czasie których kuląc się na pustym peronie czekali na ten pociąg. Nie wesoło było, ile się spóźni, interesował fakt, czy w ogóle przyjdzie. A teraz, kiedy poddał się uczuciu bezpieczeństwa, wystąpiła im świadomość jazdy.

Wiatr piszczał opętano w wywietrznikach i drobne,

wagonu, który odżywał się produktami z paczek. Zjadł ponoć za kilkadziesiąt dolarów.

— A pasażerowie?

— Mieli pogrzeb na koszt państwa, czy też Towarzystwa Kolejowego. Po prostu siedzieli na swoich miejscach, niezym w gigantycznej drodze i brygady ratownicze musiały ich rozmrażać. A ten skład kursuje po dziś dzień na tamtej trasie.

— U nas nie może się to zdarzyć. Za bliskie odległości, no i technika została przecież udoskonalona.

— Wszystko może się zdarzyć — odezwał się człowiek w mundurze kolejarskim. — Niech tak popada przez parę dni, to nikt się tu nie dokopie.

— Niedługo wiosna — żartował młodzieniec w skórzanej kurtce.

— Co wy, panowie, co wy wygadujecie! — zerwała się młoda kobieta, która spieszyła do dziecka. — Trzeba coś zrobić, nie możemy beczynnie siedzieć i czekać aż nas zasypie!

— To niech panij wyjdzie.

— Na pewno drzwi zamaryły — jeden z robotników wstał i przeszedł przez wagon, wyszedł na pomost. Przysnął kilkakrotnie automa, zolałnął rączkę bezpiecznika, lecz drzwi pozosta-

ły — wycedził jeden z grających nie wyjmując papierosa. — Myśl pan sobie po cichu.

— A właśnie, że będę krzyżował! Niech wszyscy się dowiedzą do czego doszliśmy po dwudziestu pięciu latach!

— No, właśnie, nawet ze śniegiem nie mogą sobie poradzić — powiedział ktoś z kąta. — Przed wojną, to dopiero było życie...

Inteligent z bródka nerwo- wa bębnił palcami w blat sto- lika i zaczepnie rozglądał się po wagonie.

— Przestali grać! — zapisała damulka i zaczęła wkładać wyświechtaną pelisę. — Boże, co teraz będzie?!

— Do diabła! — zdenerwo- wał się inteligent. — Nie myślę przecież umierać!

— No to masz pan okazję pomysłcie — zarechotał robotnicy.

Kobiety plakały, szelnie okrywając się paltami i chustkami. W wagonie rzeczywiście stawało się coraz chłodniej.

— Mówię wam, że odkopią nas dopiero na wiosnę — odezwał się głos z kąta. — Proponowałbym wspólny sen. W ten sposób wszystko odbę-

dy to rozbitkowie dopuszczali się kanibalizmu. Obserwowałem siedzących i nagle wyobraziłem, że zaczynają wyszukiwać pomiędzy nami pierzawy ofiary. Mimo woli uczułem chłód. Kolejarz stawał się wyraźnie niezadowolony z moich ruchów zmierzających do rozgrzania nóg. Jedynie zegarki szły obojętnie, wskazując północ. Ich fosforyzowane cyfry były blade w świetle oślepiających jarzeniówek.

Znow przemknął konduktor, lecz tym razem schwycono go na pomoście i po krzykach, szamotaniu, odgłosach uderzeń pojawił się tam, za tymi zasuwanyimi drzwiami trwa walka. Bito człowieka dlatego, że należał do obsługi tego pociągu. A kiedy ukazał się w naszym przedziale, jego twarz była zakrwawiona i bezbronna. Szedł opierając się o ławkę i spoglądając nam w oczy, jakby szukał współczucia. Ale w naszych twarzach była wrogość i obojętność. Nasz strach był silniejszy od cudzej śmierci. Mężczyźni, którzy zatrzymali kolejarza, hałaśliwie weszli do środka i klnąc brzydło gajęli



ostre kuleczki śniegu tłukły w szyby. Ta jazda przypominała ozolganie się rannego potwora, z którego nieustannie uchodziło życie. W końcu pociąg zatrzymał się. Po obu stronach ciągnęły się pola: puste, wrogie, ogromne. Siedzący ludzie niecierpliwie wyglądali przez zamrażające szyby starając się ustalić położenie pociągu.

Obserwowałem twarze podróżnych. W czasie jazdy były to obojętne, obce maski o zamkniętych oczach, usiłujące przynajmniej przez chwilę pozbyć się nagromadzonego w miesiącach zmęczenia. Ich sen był nagły i czujny. Zrywali się na swoich przystankach i ziewając sunęli ku wyjściu. Teraz usiłowali otrząsnąć się z drzemki i zrozumieć przyczynę nagłego postój. Powoli wracali z odległych rejonów uśpienia.

— Dlaczego stojemy?

— Pewnie awaria.

— A może zasypało tory?

— Co teraz?

— Żeby tylko nie wyłączyło prądu. Zamarył się...

— Co za zima, nie pamiętam tak głupiej zimy.

— Będziemy tu tkwić, aż podesała plug. Te elektryczne to nie to co lokomotywy. Tamte szły niezym lodolamaczami.

— Cóż, będziemy nocować.

— Ale ja muszę być w domu!

— A pani myśli, że my nie musimy?

— Mam małe dziecko...

— Gdzieś czytałem, że w czasie takiej, jak nasza zima zasypało pociąg osobowy. Odnalaziono go dopiero na wiosnę. Wyobraźcie, że przeżył tylko facet z pocztowego

ły zamknięte. Zrezygnowany wrócił na swoje miejsce i wygodnie się usadowił, zamknął oczy.

A pociąg stał nadal. Neony zalewały wnętrza białym światłem, podkreślając czerni okien, za którymi leżał skutym mrozem krajobraz.

Robotnicy zaczęli grać w karty, głośno wywołując kolory i denerwując się przy ładzie niepowodzeniu. W ich oczach czuło się napięcie, choć starali się lekceważyć zainstalowaną sytuację. Niektórzy czytali, albo rozmawiali po cichu, jakby w ten sposób można było zyskać odrobinę bezpieczeństwa.

Postój przedłużał się. Zapadła noc. Niepokój wzrastał i częste kobiet popadała w histerię. Zdenerwowany konduktor krzychał, że o niczym nie wie, że tak samo, jak wszyscy, chciałby się czegoś dowiedzieć, lecz nie może, bo drzwi zamaryły i nie może wyjść by dostać się do maszynisty. Teraz już krzyczeli wszyscy. Oskarżano nieznaną bliżej ludzi, którzy zwołili na tę jazdę, jak również tych, którzy tam, daleko w przodzie, siedzieli teraz beczynnie przy pulpicie sterowniczym i czekali niewiadomo na co.

— Wykończą nas! — wymachiwał krótkimi ramionami otwarty inteligent z bródka, podobny do kupca. — To jest niedopuszczalne! Kolej bierze całkowitą odpowiedzialność za pasażerów. Tego nie można puścić bezkarnie! Ale ze mną nie wygrają! Mój czas jest droższy niż wszystkie ich pociągi wzięte razem.

— Czego się pan pieklisz?

dzie się bez naszego udziału.

Obserwowałem twarze tych ludzi, którzy parę godzin temu okazywali sobie jeśli nie grzeczność, to przynajmniej obojętność. Teraz zrodziła się wrogość. Strach szukał wyjścia, znajdując je w gwałcie i pogardzie dla innych. Każdy winił drugiego, jakby ten drugi miał jakikolwiek wpływ na przebieg wypadków, na nasz przymusowy postój w tej nieprawdopodobnej zamieci. Jeszcze moment, a zaczęła rzucać się na siebie, bowiem ogarniające ich przerażenie czyni ich ślepy i głuchymi. Do wzrostu napięcia przyczynił się głód. Ludzie niespokojnie krążyli po wagonie, jakby w ten prymitywny sposób usiłowali zapomnieć o tym, że przecież mogą naprawdę zamaryć w tym, coraz zimniejszym, wagonie. Najbardziej wyraźnym zmianom uległy twarze: łagodnie rysy stały się ostre, sięgały, skupione i wrogie. Oczy niespokojnie biegały od okna do twarży, gotowe w każdej chwili zaalarmować ciało przed niespodziewaną napaścią. Było w tym coś zwierzęcego, instykt przetrwania za wszelką cenę, nawet cene czyjejś życia. Napięcie rosło. Musiałem także wejsnąć się w ką, bowiem siedzący naprzeciwko kolejarza, zerkal na mnie w dziwny, niepojęty sposób, jakby usiłowal określić moją siłę i wytrzymałość. Byliśmy tu sobie obcy i samokontrola przestała istnieć. Rozbudziły się instynkty.

Przypomniały mi się katastrofy morskie, o których czytałem w dzieciństwie, kie-

swoje miejsca. W zgiełk nieustannej szamotaniny, kobiecego zawodzenia i krzyków, wcisnął się głos szalejącej za oknami zamieci.

Nad ranem, kiedy nasze czuwanie przerodziło się w nieustanną gotowość do nieprzewidzianych ataków, posłyszeliśmy oddalone sygnały lokomotywy. Przez losokt wiatru dolatywało jej urywane ostrzeżenie, a wraz z nim nadzieja, że zostaliśmy uratowani. Potem nastąpiło szarpnięcie, jazda do tyłu, znów króciutki postój i pociąg ruszył w kierunku naszych stacji, gdzie na peronach czekali najbliżsi.

Na przystankach ludzie rzucali się do drzwi, tłukli w nie butami, rozrywając zamaryte ich skrzydła. Słychać było trzask łamanych desek i hałas walącego się lodu. Ci, którzy opuszczali wagon, nie patrzyli nikomu w oczy, starali się jak najprędzej znaleźć poza zasięgiem tych, przed którymi nie tak dawno obnażali swoje, skrzętnie ukrywane przez długie lata, twarze. Gonili ich wstyd, śpieszyli do domów, by tam przywdziać na powrót odświętne maski, które zaczęły na nowo obnosić przez następne lata.

A pobity kolejarz siedział skulony na ławce i plakał. On jeden nie musiał przywdziać maski: spuchnięta twarz wyrażała beznadziejną rozpacz i słabość. Pozostał na posterunku choć nikt tego nie żądał, może nawet nikt nie wiedział, że właśnie na nim dokonano prachunków, zabijając swój własny strach i niemoc.

Był to schylek XIX wieku i wówczas Warszawa dawała Łodzi swoich energicznych, pełnych pasji ludzi. Odebrała to sobie potem z nawiązką — wiek następny notował zjawisko odwrotne — to z Łodzi szli ludzie do stolicy na wysokie piętra stanowisk.

Był to jednak jeszcze wiek XIX i młody warszawski polityk, Henryk Elzenberg znalazł się latem 1879 roku na łódzkim bruku. Określenie to ma charakter wyłącznie metaforyczny, bowiem osławione łódzkie bruki jeszcze wówczas nie istniały.

Henryk Elzenberg, trzydziestolatek, kształcony w Szkole Głównej, współpracownik „Gazety Handlowej” i „Przeglądu Tygodniowego”, jeden z założycieli „Niwy”, autor „Pogadank z ekonomii politycznej” — słowem człowiek światły, „wybitny uczeń stołecznego życia umysłowego i literackiego” (jak pisał Z. Gostkowski) — raptem zostaje odsunięty od możliwości działania... Opuszcza Warszawę. Píše w liście do Orzeszkowej w lutym 1879:

„nas rodzajem posterunku”. O ten posterunek polskie walczył Elzenberg z uporem. Nie było to łatwe.

„Tu w Łodzi niesłychanie trudno coś zrobić, bo pomijając wstręt do czytania, szczupłość środków inteligencji polskiej (...) Staramy się do światła łódzkiego wprowadzić artykuły polskie (na łamach polskiego dodatku „Lodzer Zeitung”), ale od tego do artykułów o literatu-

I. Poznański — 50 rb, Gajewicz — 10 rb”.

Spśród tego grona znamy już Elzenberga. A inni? Pierwszy na liście — Stefan Kossuth. Píše o nim Elzenberg:

„Wśród tej zgrali nędznych kreatur, głupich i niemoralnych lub złych i podłych był wszakże jeden człowiek... Był Kossuth inżynier oddychający cyframi, lecz z sercem prawym, rozumem daleko sięgającym...”

Urodził się w Grójcu w 1851 roku jako syn inżyniera kolej warszawsko-wiedeńskiej. Po studiach w Petersburgu praktykę odbywał w Żyrardowie, w Warszawie zakładał Biuro dla Poszukujących Pracy oraz pierwsze polskie pismo technologiczne „Przegląd Techniczny”. W roku 1882 zatrudnia się w Łodzi w Zakładach Scheiblera. Był tam wysoko notowany, pełnił funkcję naczelnego inżyniera, cieszył się zaufaniem... Ta pozycja Kossutha była mocną kartą w staraniach Elzenberga o pismo.

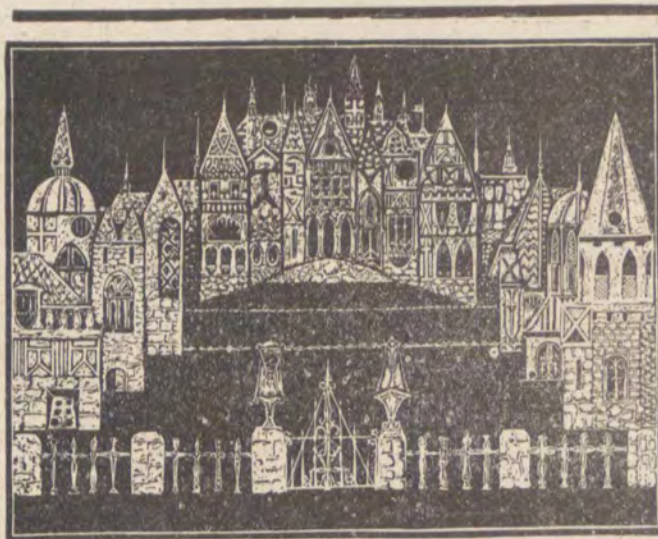
Natomiast Zdzisław Kula-kowski — geometra, później pierwszy redaktor odpowiedzialny, nie był chyba

Mimo to pięciokrotnie sta-no do Petersburga prośby o zezwolenie na pismo polskie i pięciokrotnie władze odmawiały. Wreszcie w roku 1884 zgoda uzyskana. Na redaktora „Dziennika Łódzkiego” zatwierdzono geometrę Z. Kula-kowskiego, wydawcą został Stefan Kossuth. Faktycznie jednak duszą, organizatorem i kierownikiem pisma był Henryk Elzenberg.

Taka sytuacja nie była dla Elzenberga ani wygodna, ani satysfakcjonująca. W grudniu 1883 píše do Orzeszkowej:

„Trudności co niemiara. Seysje wewnętrzne usunięte, ale były dla mnie przykre. Znowu zawiody mnie — a raczej utwierdziły, że się demoralizujemy coraz bardziej. Osoba, którą ja postawiłem, nie mająca żadnych kwalifikacji ani zdolności pisarskiej, chociaż korzystała z mandatu ogólnego do piastowania rodzaju depozytu publicznego”.

Wiele jednak pismo powstało. „Zadecydowa-ły dwie okoliczności stwierdza Zyg-munt Gostkowski — osoba Henryka Elzenberga i jego praca oraz pomoc finansowa, jaką pismu udzielił Edward Herbst, zięć Karola Scheiblera, naczelny



Józef Gielniak. Z cyklu: Sanatorium w Bukowcu

pism rosyjskich przyjęło na siebie rolę rzeczników sprawy fabrykantów moskiewskich. Ukazujące się w nich artykuły starały się wydobywać na światło dzienne wszelkie ujemne fakty, dotyczące przemysłowców łódzkich, w szczególności mówiące o ich

opuścił bowiem Łódź w lipcu 1884 roku czyli w siedem miesięcy po powstaniu „Dziennika”, przez osiem lat był oficjalnym wydawcą pisma. Dopiero w lipcu 1892 roku władze „przy-pomniwały” sobie, że wydawcą łódzkiej gazety i właścicielem

KUPIĆ 100 GĘSI CZY WYDAWAĆ PISMO?

„Wybrałem więc Petersburg. Neoi mnie on ogromem, względna wolnością słowa na adwokackiej mównicy, szansa takiego ustalenia bytu, który by kiedyś pozwolił wrócić do kraju...”

Nie bardzo jednak wiadomo, dlaczego — zamiast na wschód, pojechał na zachód. Zamiast miasta „nęcącego ogromem” wybrał miścisnę dość nędzną i mocno prowincjonalną. Miścisnę, w której nie było nawet kolejnej numeracji domów, lecz numery hipoteczne. Potem „Dziennik Łódzki” wykpiwał na swych łamach sposoby adresowania listów: „Do pana Moszka, faktor w miasto Łódź, a numeru nie potrzeba, bo nie ma drugiego Moszka faktora w Łodzi”. Tak to był zaścianek, gdzie wszyscy się znali...

Przyjechał więc Elzenberg do Łodzi. Przyjechał tu — i wiadomo — musiał zacząć działać. „Będziemy mieć pismo” — donosił Orzeszkowej latem 1879 roku.

Nastąpiło to nieprędko, bo dopiero pięć lat później. Ale widział jasno konieczność owej polskiej trybuny — „Pismo polskie będzie tu u

rze, chociażby sprawozdaw-czych bardzo daleko”. Pisał te słowa w styczniu 1881 r. Od pierwszego numeru polskiej gazety codziennej dzieli-ły go jeszcze trzy lata.

Niespełna rok dzielił jeszcze Elzenberga od upadku innej jaskółki czasopiśmiennictwa polskiego w Łodzi. W roku 1882 upadła bowiem „Gazeta Łódzka”, właśnie ów tygod-niowy dodatek polski do „Lodzer Zeitung”.

„Zaraz po upadku „Gazety Łódzkiej” — píše Zyg-munt Gostkowski w swym cennym studium „Dziennik Łódzki” w latach 1884—1892” — na prywatnym zebraniu utworzono fundusz organizacyjny w związku z podjęciem dalszych starań o pismo polskie. Oto wykaz uczestników tego zebrania i złożonych przez nich składek: Kossuth — 35 rb, Wisłocki — 20 rb, Elzenberg — 20 rb, Sygietyński — 10 rb, Bronikowski — 10 rb, Kamocki (rejent) — 10 rb, Komirowski (poeta) — 10 rb, Malachowski (adwokat) — 10 rb, Bernatowicz (skład luster) — 10 rb, Pił-kowski — 10 rb, Janiszewski (restaurator) — 10 rb, Ront-haler (pastor) — 10 rb, Placki Konstanty — 50 rb, Kichter (obywatel łódzki) — 10 rb,

„odkryciem” Elzenberga, o czym zresztą pisał potem w listach do Orzeszkowej. Mnie osobiście ciekawi jeszcze „Komirowski (poeta)” — niestety nie bliższego mi o nim nie wiadomo.

Tak więc szesnastka zapa-leńców postanowiła założyć w Łodzi pismo polskie. Zebrał na swym pierwszym posiedzeniu niewiele.

Raptem 285 rubli. Nie znam ówczesnych cen papieru, tak zwanych dzisiaj „usług poli-graficznych” itp. kosztów wydawania pisma. Suma 285 rubli nie była chyba jednak zbyt wysoka. Stanowiła — być może — po prostu dowód dobrej woli, chęci działania...

Choć to może nieopowiadany zabieg, spróbujmy dziś jeszcze, czytelnikowi usmysłowić poziom cen artykułów spo-żywczych. Oto, ile wówczas kosztowały artykuły codzien-nego spożycia: kwarta mleka — 8 kopiejek, główka kapu-sty — 5 kopiejek, gęś — 3 ruble, indyżka — 2 ruble.

Z całą pewnością zatem wiadomo, że za około 300 rubli można było wówczas na łódzkim targu kupić 100 gęsi. Czy można jednak było wyda-wać gazetę codzienną?

dyrektor i udziałowiec zakła-dów scheiblerowskich”.

Wiemy już, że Stefan Kos-suth cieszył się zaufaniem Scheiblera, dodajmy, że Elzenberg był w scheiblerow-skich zakładach radcą praw-nym. Sprzyjał im Herbst, Niemiec, ale urodzony w Ra-domiu, nie żyjący nacjona-listycznych animozji do Po-laków, Elzenberg píše o nim: „Przecież p. Herbst to Polak, któremuś Polaków niejako wniósł”.

W ten sposób rozwiązana mamy zagadkę: czemu nie zakupiono za te składowe ruble 100 gęsi, lecz jednak wydano pismo. I mogło się ono ukazywać aż do końca roku 1882.

Nie znaczy to, rzecz prosta, iż fortuna Scheiblerów powo-lała „Dziennik Łódzki” zupeł-nie platonicznie, bez włas-nych celów i interesów. Zyg-munt Gostkowski tak píše o tej sprawie:

„Przemysłowcy moskiewscy w swej kampanii przeciwko przemysłowcom łódzkim po-sługiwali się między innymi publicystyką prasową. Wiele

stosunku do Rosji, traktowa-niu robotników, praktykach handlowych itp. W tej kam-panii przeciwko przemysłowi łódzkiemu, w którym na plan pierwszy wysuwa się Scheib-ler, prasa polska Królestwa zajmowała na ogół również stanowisko dla Łodzi nie-przychylnie. W ten sposób fa-brykanci łódzcy na gruncie publicystyki prasowej stali się bezbronni. Jedynym zaś spaleczno-literackim pismem polskim, które stało się zdecy-dowanie po ich stronie w walce z fabrykantami moskiewskimi, był właśnie „Dziennik Łódzki”.

Tak więc — mówiąc po prostu — działania Elzenber-ga trafiły w Łodzi na podatny grunt, sprzyjającą atmo-sferę. I oczywiście „Dziennik Łódzki” stał się prosczeib-le-rowski, bo taka była jedyna wówczas alternatywa pisma. Pozostawała tylko możli-wość kupna 100 gęsi.

Osobliwość tej pierwszej polskiej gazety łódzkiej było to, że jej twórcą i kierowni-kiem, Henryk Elzenberg, właściwie cały czas, przez osiem lat istnienia pisma, pozostawał w cieniu. Nie istniał dla władz. Zmieniali się redaktorzy od-powiedzialni — nie zmieniała się gazeta.

Wydawcą był również no-minalny, Stefan Kossuth

drukarni mieszka... w Peter-burgu. Zawieszono wówczas wydawanie „Dziennika” — w praktyce był to koniec gazo-ty.

Jedyna była wówczas wła-dza, mogąca odwołać decyzję zawieszenia. Gubernator piotrkowski. Ale w tym cza-sie gubernatorem był germa-nofil Miller. Tak więc „Dziennik Łódzki” przestał istnieć po ośmiu latach — drukarnię bardzo szybko ku-pił Petersilge — wydawca „Lodzer Zeitung”.

Przeglądając dziś — po prawie stu latach — rocznik „Dziennika Łódzkiego” uderza nas przede wszystkim żywość redagowania tej gazety. Ani brak zdjęć, ani monotonia łamania nie potrafią tego wrażenia żywości przy-mięć. Ma rację Zyg-munt Gos-tkowski, gdy píše, że „Dzien-nik” ujmował swe zadania i swą rolę w myśl koncepcji nowocześniejszej prasy. Była to bowiem w istocie gazeta nie tylko pierwsza ale i no-woczesna.

JERZY WILMAŃSKI



Portret z pamięci

Przed Sądem Powiatowym w Łasku stanął nie-dawno wyjątkowo odrażają-cy drab, niejaki Marian Bugajny ze Złotnik. Ten 27-letni mężczyzna, żonaty, ojciec dwojga dzieci, obrał sobie dość ponury sposób spędzania letnich wczeso-rów. Jeździł motorem po okolicy i kłusował na sa-motne kobiety. Zapuszczał się aż pod Konstanyńów i Pabianice. Napotkane ofiary bił, gwałcił i rabował. Wszystko do czasu. Jedną z młodych dziewcząt, napad-niętą przez niego pod Pa-bianicami, pojechała w to-warzystwie funkcjonariusza MO do Łodzi, do Komendy

Wojewódzkiej, ażeby od-tworzyć tam t.zw. „portret z pamięci” przestępcy. Kie-dy wszedł do pokoju, w którym miał odbywać się eksperyment, struchlała z przerażenia. Wśród obec-nych w pokoju mężczyzn rozpoznała swego prześlado-wcę. On również ją roz-poznał, usiłował szybko zbiec, lecz został zatrzy-many na schodach.

Przypadek, jak w złym, bardzo złym kryminale. Bugajny znalazł się tego dnia w Komendzie całkiem przy-watnie, chciał kupić motor od jednego z milicjantów. Oczywiście w tej sytuacji „portret z pamięci” okazał

się już zbyteczny. Na mar-ginesie — jeśli chodzi o wygląd — Bugajny mógłby służyć jako żywy dowód po-twierdzający teorię Lom-brosa.

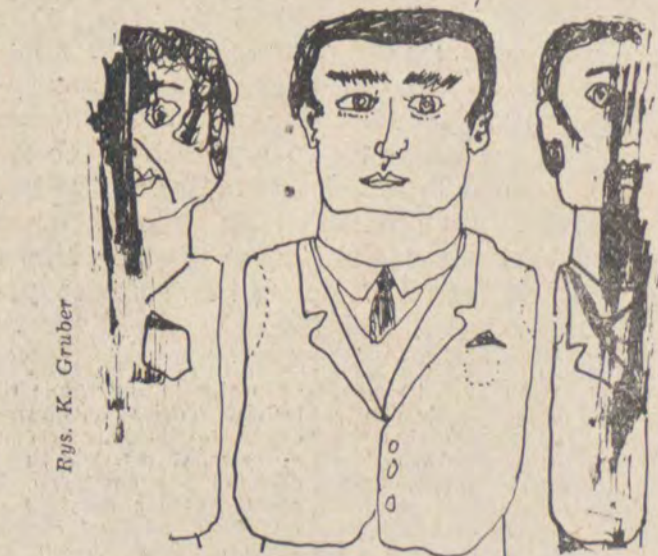
Dla przeciętnego, normal-nego człowieka gwałt i ra-bunek są czymś przerażają-cym, haniebnym, bydlęcym. Dla Mariana Bugajnego to były rzeczy codzienne, zwy-czajne jak chleb powszedni.

— Brałem motor — po-wiada — i jechałem na spotkanie z jakąś dziewczyną. Jak spotkałem, to odby-wałem stosunek cielesny i wracałem do domu. Tego dnia też miałem zamiar spotkać kogoś i liczyłem, że mi się odda bez użycia przemocy. Obecną tutaj w sądzie spotkałem na soszy z Pabianiec do Szykielewa. Doszedłem do niej, wziąłem ją za szyję i posłaliśmy w pole. Raczę jej upierała, ale ja ją wziąłem pod pachę i poszła. W burakach się przewróciliśmy, ale nie pamiętam, czy jej podłoży-łem nogę, czy od tak, po prostu się przewróciliśmy i

pocałowaliśmy się. Ponle-waż prosiła, żeby nie zrobił jej dziecka, to zszedłem z niej. Spytałem, czy odda zegarek. Zdjęła zegarek i od-dała. Nic więcej jej nie zrobiłem. Prosiła, że odda zegarek, żeby jej nie bił, więc jej nie biłem, ani razu jej nie uderzyłem. Poleże-liśmy tak na tej ziemi, za-braliśmy zegarek i pojecha-łem do domu.

To samo zdarzenie w oczach ofiary nie jest sie-lanką i wieczorną przygodą, lecz wstrząsającym prze-życiem, tragedią dziewczęcia.

— Wracałam ze szkoły — powie przed sądem — szłam sama drogą z Pabianiec do Lutomińska. Przed Szyk-ielewem minęły mnie dwa motory. W pewnej chwili jeden zawrócił, przystanął. Jak doszłam, zauważyłam za drzewem jakiegoś mę-zczyznę. „Niech pani zaczeka” — zawołał. Odwróciłam się i wtedy uderzył mnie w głowę ręką. Usiłowałam się bronić, chciałam krzyczeć, wzywać pomocy, byłam przerażona, samotna, bez-silna, zdana tylko na jego łaskę. Rzucił mnie do rowu, chwycił ręką za gardło i zaczął dusić, żebym nie



Rys. K. Gruber

krzyczała, drugą ręką wy-krecał moją rękę i ścigał zegarek, który dostałam niedawno jak szłam do ko-munii św. Zadał obrączki i pierścionka. Powiedziałam mu, że nie mam obrączki, bo nie jestem mężatką. Po-tem rzucił mnie w buraki, ręką trzymał za gardło i zaczął szarpać mi pończo-chy. Mówił, że mnie wyko-rzysta. Powiedziałam, że mam okres. Nic mnie to nie obchodzi — odrzekł i zapy-tał, czy miałam z kimś sto-sunek. Powiedziałam, że

nie. Pytał mnie, ile mam lat. To powiedziałam praw-dę: mam szesnaście lat. Wtedy zaczął mnie szarpać za reformy i ostrzegł, że jak będę krzyzcęć lub się bro-nić, to mnie zabije. A jak zamelduje o tym, co się dzisiaj stało milicji, to czy za rok czy za dwa i tak mi nie daruje.

Marian Bugajny skazany został na 15 lat pozbawienia wolności.

KAROL BADZIAK



NA KRAWĘDZI

Scenariusz nowego polskiego filmu „NA KRAWĘDZI” reżyser Waldemar Podgórski napisał w oparciu o motyw powieści „Droga z Monachium” Mariana Reńska — Strużyńskiego. Powieść ta odzwierciedla własne przeżycia autora, byłego oficera polskiego kontyngentu, który w latach pięćdziesiątych, w czasach największego nasilenia zimnej wojny, udało się przedostać do szpiegowskiej agencji w Monachium i rozszyfrować przygotowywaną tam antypolską akcję. Nie znalazł jednak w niej zacytowanej opinii autora, który w wydawnictwie „Magazyn Filmowy” (nr 12/72) powiedział:

„Na pytanie, czy fabuła „Na krawędzi” jest adaptacją akcji opisanej w mojej książce odpowiedź — w zasadzie tak. Jednak po przeczytaniu scenariusza przedstawiłem reżyserowi wiele zastrzeżeń. Zaskoczyły mnie rozwiązania, z którymi trudno było mi się pogodzić. Może jestem zbyt wierny swoim przeżyciom? Myślę, że czytelnik „Drogi z Monachium” będzie zaskoczony, oglądając film. Nie mam jednak pretensji do reżysera, ponieważ zdążył sobie sprawę, że przekład literatury faktu na fabulę filmową, to sprawa zupełnie innego warsztatu”.

Z wypowiedzi tej wynika, że Marian Reńsk, mimo zaskoczenia i przedstawił przez siebie zastrzeżenia, nie ma pretensji do Waldemara Podgórskiego. A szkoda! Bo gdyby je posłuchał już na etapie scenariusza, gdyby pretensje te mieli również ludzie za akceptacji Jego odpowiedzialni, na ekranie nie pojawiłby się film, któremu dano tytuł „Na krawędzi”. Do kogo mają teraz zgłaszać swe pretensje widzowie, których też „zaskakują rozwiązania, z którymi trudno się pogodzić”, którzy również „zdają sobie sprawę z tego, że przekład literatury faktu na fabulę filmową, to sprawa zupełnie innego warsztatu”, ale znając tego warsztatu wymogi ze zgrozą patrzą na jego ekranowe rezultaty.

W ranku zwanym sensacyjno-kryminalnym kino polskie nigdy mocne nie było, to prawda, ale jeśli w roku 1972 realizuje się film, któremu można, nawet w polskich warunkach, przypisać datę dwadzieścia lat wczesniejszą, to warto zastanowić się nad przyczynami.

Waldemar Podgórski zebrał w swym filmie wszystkie demony autentyzmu kiczu sensacyjno-szpiegowskiego tematu. Demony te grasują zarówno na polu fabuły, a głównie właśnie jej rozwiązań, opanowały postacie wyjęte z archiwum najbardziej schematycznych wzorców, rozluźniły się wówczas,

gdy twórca usiłował, względnie sprawnie opowiedzieć ową sensacyjną historię, a zenitu dosięgły w realiach obyczajów, rekwizytów, wyglądu itp.

Ze los pracowników kontyngentu nie należy do łatwych, że ryzykują wiele, nawet życie, że wymaga się od nich inteligencji, sprytu, zimnej krwi, rezygnacji z życia osobistego — to wszystko wiemy bez filmu Waldemara Podgórskiego. Jeśli zaś sprawy te mają służyć jako temat książki czy filmu, to trzeba w nich szukać albo dla samej czystej sensacji — rzeczywiste niezwykłe dramatyczne i emocjonujące możliwości opowiadania, albo, gdy ma się cele ambitniejsze — nauza wiodące w głąb psychologii stojących naprzeciw siebie przeciwników, można też zrobić rzecz, w której do głosu dojdą serio i wnikliwe potraktowane raczej polityczne dwu walczących ze sobą stron. Film „Na krawędzi” jest karykaturą wszystkich tych trzech możliwości. Sensacja jest w nim więcej niż schematyczna, banalna i naiwna, pozbawiona jednego elementu niespodzianki, a na dodatek nieudolnie opowiedziana u psychologii postaci nie ma co mówić — bohaterów żywcem przeniesiono z najgorszego komiksu. Nie trudno się domyślić, że w tym kontekście nawet racjom politycznym odebrano ich wagę — cała ta preberierka i gra po prostu smieszna, choć rzecz sama w sobie wcale nie jest śmieszna. Z opowieści o dywersjach politycznych, jeśli w założeniu nie jest komedia, komedią czynić raczej nie należy.

Inscenizator wychodzi z założenia, że im bardziej „Dziady” okrawać, „porządkować”, uczytelnić, tym bardziej się je upraszcza, sprowadza do ułożonych wątków fabularnych, a tym samym zakłamuje. Słota „Dziadów” tkwi w ich wieloznaczności, żywołotwie nieobornobności i nadmiarze myśli. To splątany gąszcz dzieł, który nie należy fryzować ani stryc na wzór wersalskiego parku. Ani karłowate przezeń widziwoł wygodnych ścieżek. Wielka flozyczna-poetycka metafora Mickiewicza przekazana zostaje bez interpretacyjnego natręctwa, w całym bogactwie stawianych w niej pytań, na które (badzmy skromni!) nie zawsze znaleźć potrafimy odpowiedzi.

Swinarski obrzęd Dziadów traktuje serio. Obrzęd nasycony mistyką, rozgrywany na pograniczu między życiem i śmiercią, gdzie wszystko nabiera innego wymiaru —

Od paru lat na opinii najbardziej ambitnej i naciekawszej sceny polskiej zapracował sobie krakowski Teatr Stary im. Heleny Modrzejewskiej, którego dyrektorem jest dramaturg i krytyk teatralny Jan Paweł Gawlik. To w tym właśnie teatrze przy ulicy Jagiellońskiej i placu Szczepańskim powstały w poprzednich sezonach takie spektakle jak „Biesy” Dostojewskiego w reżyserii Andrzeja Ważydy, „Wszystko dobre, co się dobrze kończy” Szekspira w reżyserii Konrada Swinarskiego i „Mutka” Witkiewicza w reżyserii Jerzego Jarockiego. Każdy najprędzej próby.

Ale oto na orbitę życia teatralnego weszły „Dziady” Adama Mickiewicza w inscenizacji Konrada Swinarskiego. Choć od premiery upłynęło niewiele czasu, już powszechnie panuje opinia, że mamy do czynienia z jedynym w swoim rodzaju wydarzeniem scenicznym. Tak więc raport z podróży teatralnej po południowej Polsce rozpoczynam od garści refleksji na temat krakowskich „Dziadów”.

„Dziady” Swinarskiego to teatr agresywny. Przede wszystkim w stosunku do tekstu literackiego i jego tradycji interpretacyjnej. Po wtóre — w stosunku do konwencji teatralnej. Po trzecie — w stosunku do widza.

Tekst Mickiewiczowski ma rozmiar obryzmie, jak „Faust” Goethego. Około 300 stron druku. Ma przy tym strukturę kolażu, czy mozaiki zestawionej z kamyków różnego kształtu i barwy. O wystawieniu na scenie całości nie można więc marzyć. Nawet jeśli przedstawienie trwa, jak u Swinarskiego, bite czterdzieści godzin. W porównaniu jednak ze swymi poprzednikami — z wielkim Leonem Schillerem włącznie — Swinarski najmniej uronił, najmniej tekst okroił.

Inscenizator wychodzi z założenia, że im bardziej „Dziady” okrawać, „porządkować”, uczytelnić, tym bardziej się je upraszcza, sprowadza do ułożonych wątków fabularnych, a tym samym zakłamuje. Słota „Dziadów” tkwi w ich wieloznaczności, żywołotwie nieobornobności i nadmiarze myśli. To splątany gąszcz dzieł, który nie należy fryzować ani stryc na wzór wersalskiego parku. Ani karłowate przezeń widziwoł wygodnych ścieżek. Wielka flozyczna-poetycka metafora Mickiewicza przekazana zostaje bez interpretacyjnego natręctwa, w całym bogactwie stawianych w niej pytań, na które (badzmy skromni!) nie zawsze znaleźć potrafimy odpowiedzi.

Swinarski obrzęd Dziadów traktuje serio. Obrzęd nasycony mistyką, rozgrywany na pograniczu między życiem i śmiercią, gdzie wszystko nabiera innego wymiaru —

spraw ostatecznych i transcendentnych.

Cała konwencja inscenizacyjna krakowskich „Dziadów” podporządkowana jest tej obłudności, nasycona jęklącą skargą — inkantacją, w której zawiera się ludzka niezdolność do przeżycia wszystkich tajemnic życia:

„Ciężko wszędzie,
głuchą wszędzie,
Co to będzie,
co to będzie?”

Począwszy od autentycznych dziadów krakowskich usłyszanych przy wejściu na teatr, poprzez wielki krucyfiks okryty kirem i obraz Matki Boskiej z Ostrej Bramy, poprzez cały zespół znaków, symboli i dźwięków, poprzez wymieszanie sceny z widowiskiem, aktorów z widzami — buduje Swinarski nastrój swego misterium, nie licząc się z teatralnymi zwyczajami, zmieniając funkcje poszczególnych pomieszczeń w gmachu teatralnym, modelując całą jego objętość w wieloznaczne miejsce akcji i dramatu.

Gdy przed rozpoczęciem widowiska oczekiwałem wraz z resztą publiczności znaku, że można już wstąpić na schody, by uwikłać się w ceremoniał Dziadów, pomyślałem, że oto odbieramy lekcję skromności. Skromności wobec gigantycznego dzieła Mickiewicza, skromności wobec spraw wielkiej wagi przerastających doświadczenie jednostki, wreszcie skromności wobec teatru jako instytucji, w której kryzys po obejrzeniu „Dziadów” Swinarskiego trudno uwierzyć...

Inne wrażenia, innego formatu, przywoła z Tarnowa, z Teatru Ziemi Krakowskiej im. Ludwika Solskiego.

Oglądałem tu dwa przedstawienia, z których jedno jest repliką na drugie. „Słowo o Jakubie Szeli” Bruno Jasińskiego i „Turon” Stefana Żeromskiego. Oba utwory dotyczy jednego z najtragiczniejszych epizodów naszej historii — rzezi galicyjskiej w 1846 roku, w obu centralną postacią jest przywódca rabacji chłopskiej — kolodziej Jakub Szela ze Smarzewa.

Jeżeli przypomnieć, że krwawe wydarzenia rozgrywały się właśnie we wsiach podtarnowskich, w Smarzewie, Siedliskach, Wojsławiu, Golezowie, czy Ostrowku, że hasłem do wybuchu powstania narodowego miał być atak na Tarnów i że stoi jeszcze w tym mieście przy placu Kazimierza 3 kamienica, w której starosta austriacki Breiń wypłacał kasał chłopom po 10 złotych reńskich za każdego zabitego powstańca, a po 5 — za żywego dostarczonego w postrojkach — wówczas dwugłosie o Szeli płynące ze sceny tarnowskiego teatru nabiera szczególnej wymowy. To

historia jakby się przybliżała, zmuszając do przemyśleń i bolesnych rozrachunków.

Autorem „Słowa” jest pisarz-komunista, który pojął najgłębszy sens rabacji. Szela urasta w jego poemacie do wymiaru sprawiedliwego sędziego i wykonawcy wyroku za stulecia krzywd i pańszczyznianej biedy. To on zwołał Jasińskiego podjąć po Konradzie z „Dziadów” owo wadzenie się z Bogiem, ale na inne, klasowej płaszczyźnie. Wstrząsający jest jego dialog z Chrystusem u rozstaju dróg. Mówi Szela:

„Nie cenileś Ty król
chłopskiej
za złamany szeląg!”

Czemuż się, Panie Jezu, tak o pańską przelakli? Poemat Jasińskiego grany jest na małej scenie teatru. Oprócz Szeli — Narrator i skrzypek to wszyscy uczestnicy spektaklu. Za całą scenografią służy zwykły pień drzewa z rozczłonkowanymi korzeniami. Słowo uzupełniane jest grą na wiejskich skrzypkach i światłem reflektorów punktującym nieomyślnie dramatyczne napięcia.

Po wrażeniach na małej sali — „Turon” na dużej scenie teatru zabrzmiał jakby fałszywą nutą. Cóż? Sama sztuka Żeromskiego nie wytrzymuje konfrontacji, jest wewnętrżnie pokłębna. Pisarz, tak czuły na dół chłopską, zląkł się jakby, wybuchu słusznego gniewu. Tylko w pierwszym „akcie” Szela jawi się jako zwalczacz burzy, godny i skupiony. W dalszych aktach rzecz rozmywa się, a woda rabacji przedstawia Żeromski jako pijaka i okrutnika.

Zasługa teatru w Tarnowie jest, że w tym polemicznym dwugłosie o Szeli zwycięsko brzmi piękna i surowa ballada

Waldemara Podgórskiego. Opuszczając śliczne miasto z jego renesansowym rynekciem przepielionym szacunkiem dla dobrej roboty teatralnej, z którą się tu zetknąłem.

Małe miasto, a ambicji więcej niż w niejednym wielkim mieście.

Teatr Stary im. H. Modrzejewskiej w Krakowie: Adam Mickiewicz „Dziady”; inscenizacja, reżyseria i scenografia — Konrad Swinarski; muzyka — Zygmunt Skonieczny; kostiumy — Krystyna Zachwatowicz; układ taneczny — Zofia Węglowa; układ ruchu — Marek Lech; premiera — 18. II. 73.

Teatr Ziemi Krakowskiej im. L. Solskiego: „Słowo o Jakubie Szeli” opracowanie tekstu i reżyseria — Jerzy Wasiuczyński; kostiumy — Zdzana Jasińska; premiera — listopad 72.

Stefan Żeromski „Turon”; inscenizacja i reżyseria — Ryszard Smołżewski; scenografia — Maria Adamek; kostiumy — Marian Gostyński; muzyka — Stanisław Radwan; premiera — listopad 72.

TEATR

RAPORT Z PODRÓŻY TEATRALNEJ

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

SZANSA MŁODYCH

Czym interesują się?

We wrześniu 1972 r. przeprowadzono z inicjatywy KD PZPR Łódź-Baluty badania socjologiczne nad zainteresowaniami i postawami młodzieży w wieku 15-25 lat. Ankieta objęła 1180 uczniów i młodych robotników. Szukaliśmy odpowiedzi na pytanie: **jakie są podstawowe kierunki zainteresowań i dążeń młodzieży? Jaka jest jej postawa wobec pracy i działalności społecznej?**

Jak wykazały badania, młodzi interesują się przede wszystkim filmem, muzyką rozrywkową i sportem. Zainteresowanie innymi dziedzinami jest raczej niewielkie. Na przykład naukami humanistycznymi wśród badanych interesuje się tylko 11,5 proc. młodzieży pracującej i 11 proc. młodzieży szkolnej, naukami technicznymi — odpowiednio 8 proc. i 5 proc., malarstwem i rzeźbą — 2,5 proc. i 3,5 proc., a turystyką — zaledwie 1,5 proc., oraz 0,5 proc. Wynika z tego, że nie ma większej różnicy w kierunkach zainteresowań młodzieży szkolnej i pracującej. Pewne różnice uwidaczniają się tylko w odniesieniu do teatru, muzyki rozrywkowej, działalności społecznej i nauk przyrodniczych. Młodzi pracujący w wię-

szym stopniu interesują się teatrem i działalnością społeczną, zaś młodzież szkolna — muzyką rozrywkową i naukami przyrodniczymi. Z filmu, sportu i muzyki rozrywkowej młodzi czerpią swoje ulubione wzory i bohaterów. Z grona aktorów polskich największą popularnością cieszy się Stanisław Mikulski i Andrzej Lapicki. Spośród piosenkarzy najczęściej wymieniano Maryle Rodowicz. Urszulę Sipińską i Zdzisławę Sośnicką.

Zainteresowania badanej młodzieży próbowano skonfrontować z jej podstawowymi dążeniami i planami żywymi. W tym celu zadano badanym pytanie: **czy posiadają jakieś bliżej określone plany, które chcieliby zrealizować w swoim życiu? Okazało się,**

że zdecydowana większość stawia przed sobą wyraźne cele (73,5 proc. pracowników i 83 proc. uczniów). Dla młodzieży szkolnej są to studia wyższe — blisko 40 proc. zamierza studiować.

W planach młodzieży pracującej dominuje dążenie do zdobycia wyższych kwalifikacji i osiągnięcia lepszej pozycji społecznej (wyższego stanowiska, większych zarobków itp.). W niewielkim tylko stopniu badani za cel uznali uzyskanie własnego mieszkania, szczególnie w osobistym życiu lub poźyciu rodzinnym, dobro kraju i obywateli. **Wśród młodzieży szkolnej największą popularnością cieszą się zawody inżyniera i technika. Znaczna część badanych (około 14 proc.) wybrała zawód nauczyciela.**

Wbrew obiegowym opiniom młodzież wykazuje poważny stosunek do życia. Cele, jakie sobie stawia, zbyt słabo jednak powiązane są z celami ogólnospołecznymi. Zbyt słabo akcentowane jest dobro społeczeństwa jako całość, jego ogólny poziom i prestiż w świecie.

Młodzież widzi potrzebę i korzyści płynące z wzorową nauką i wydajną pracą. W pierwszym przypadku (pytanie dotyczyło tylko uczniów) najczęściej wymienianym uzasadnieniem jest zadowolenie wynikające z pozytywnej oceny pedagogów, rodziców i rówieśni-

ków — wskazuje na to 21 proc. badanych, a następnie — możliwość łatwiejszego osiągnięcia zamierzonego celu oraz możliwość zdobycia większego zasobu wiedzy, bardziej wszechstronnego wykształcenia itp. W drugim przypadku (pytanie dotyczyło również młodzieży pracującej) badani podkreślają przede wszystkim, że **wzorowa praca przynosi szacunek i uznanie przełożonych oraz umożliwia uzyskanie awansu i wyższego wynagrodzenia.**

Są jednak i tacy, którzy uważają, że nie warto być wzorowym pracownikiem, ponieważ rzetelna praca nie jest doceniana, zarówno w sensie uznania społecznego, jak i ze względu na zarobki. Niektórzy też stwierdzają, że niedbałość innych nie może stanowić zachęty. Zetknięcie z rzeczywistością powoduje, że te, nieliczne co prawda, postawy wobec pracy ulegają zmianie na niekorzyść. Nasuwa się więc refleksja: **jaka jest ta rzeczywistość, jaki jest faktyczny stosunek ludzi wobec pracy, z którymi styka się młodzież podejmując pracę zawodową? Czy środowisko, w którym młody człowiek rozpoczyna pracę, dostarcza mu pozytywnych wzorów, czy wręcz przeciwnie — są to wzory negatywne?**

Na pytanie: czy warto angażować się w działalność społeczną? — większość badanych (ponad 63 proc. uczniów i 65 proc. pracow-

ników) udzieliła odpowiedzi twierdzącej. W przedstawionej motywacji podkreślono najczęściej, że działalność społeczna daje dużą satysfakcję oraz stwarza dobro ogólnospołeczne.

Na następnym pytaniu: **czy w minionym półroczu brałeś udział w jakiejś akcji społecznej?** — około 50 proc. osób stwierdziło, iż nie brało udziału.

Niedostateczna jest również wiedza młodzieży o najważniejszych wydarzeniach społeczno-politycznych w kraju. W ankiecie zadano m. in. pytanie, dotyczące znajomości uchwał VI Zjazdu PZPR. Znajomością tych uchwał wykazało się jedynie 20 proc. młodzieży szkolnej i około 40 proc. młodzieży pracującej. **Stopień zainteresowania problematyką społeczno-ekonomiczną oraz stopień zaangażowania młodzieży w działalność społeczną są więc niewielkie.** Być może, iż przyczyną tego zjawiska należy szukać w braku odpowiednich wzorów osobowych i wzorców działania, kształtujących zaangażowanie społeczne. Ankieta wykazała, że dość liczna grupa młodzieży (ok. 60 proc.) posiada wprawdzie określone wzory osobowe, które uznaje za godne naśladowania. Są to jednak wzory już dość anachroniczne. Młodzi wskazują głównie na takie postaci, jak Henryk Sienkiewicz, Adam Mickiewicz i Stefan Żeromski oraz na bohaterów ich utworów,

Wzory osobowe młodzieży czerpie też z niedawnej przeszłości Polski, odwołując się do postaci znanych z literatury (np. „Kamienie na szaniec”), z filmów (np. „Westerplatte” — mjr Sucharski), z historii (często wymieniano Tadeusza Kościuszkę). Postacie te centrowały przede wszystkim za gorący patriotyzm, odwagę, poświęcenie, silną wolę i wytrwałość.

Zbyt rzadko natomiast sięga młodzież do przykładów wybitnych postaci z dziedziny nauki, techniki, sztuki, działalności społeczno-politycznej i z historii walk rewolucyjnych.

Przeprowadzone badania wskazują na konieczność rozwijania i doskonalenia pracy wychowawczej, mającej na celu wpojenie młodemu pokoleniu przekonania, że podstawowym miernikiem wartości każdego człowieka jest jego aktywność zawodowa i społeczna. **Obok wierności pięknymu tradycjom naszego narodu należy kształtować u młodzieży również takie postawy, aby młode pokolenie wykazało rozum polityczny i zdolność do realizacji zadań, od których zależy umocnienie pozycji Polski w świecie, jej wszechstronny rozwój i pomyślność każdego z nas. Konieczność takiego działania jest niezbędna we wszystkich etapach i momentach procesów dydaktyczno-wychowawczych.**

TRUMNĘ WYWIEZIONO O ŚWICIE...

„Albo wyjdę przez główne wrota, albo nie wyjdę stąd wcale” — tak ponoć powiedział marszałek Philippe Petain grupie Kanadyjczyków, którzy na 24 dni przed jego śmiercią zaproponowali mu, by wraz z nimi opuścił wyspę Yeu.

A jednak... Dwadzieścia dwa lata później ex-marszałek opuścił wyspę i wcale nie przez główne wrota. Grupa pravicowych ekstremistów, mniej lub bardziej nakreślona przez polityków, steskiwionych za reżimem Vichy, wykradła trumnę ze szczątkami marszałka z grobowca na cmentarzu w Porte-Joinville na wyspie Yeu. Wykradziona trumna zamierzano złożyć na cmentarzu w Douaumont, z okazji 57 rocznicy bitwy pod Verdun. Co kryje się za kulami tego niecodziennego skandalu? Właściwie nie. Zależało o „Operacji Douaumont”, jak nazwano to wydarzenie we Francji, która trwała trzy dni, została zneutralizowana zarówno w płaszczyźnie techniczno-kryminalnej, jak i politycznej. Akcja ta, ku zdumieniu młodej generacji, miała odwieść ciągoty polityczne starych kombatanów spod Verdun. Tymczasem odwieść miała tylko rodzinne właśnie.

Wyspa Yeu. Niewielki, malowniczy cmentarz, rozrzucony na stoku lesistego wzgórza, łagodnie schodzącego aż do nadbrzeży miasta Port-Joinville. To właśnie na tym cmentarzu, 25 lipca 1951 roku, w grobowcu z kamienia złożono trumnę ze zwłokami byłego marszałka Francji, Philippe Petaina...

W poniedziałek, 19 lutego 1973 roku 47-letni grabarz, Jean Tharaud przyszedł, jak to robi codziennie, na „swoją” cmentarz. Była godzina ósma rano, świeciło słońce, ale wiatr ciał ostry. Tharaud był trochę zaszpan, ale jego doświadczone oko odnotowało natychmiast parę „faktów” niezwykłych. Po niedzielnym odwiezieniu żwir na cmentarzu awalek jest z reguły zdeptyany, ale dziś, przy grobie Petaina, jest starannie wygracowany. Dziwnie. Tharaud zbliżył się do grobu marszałka i uważnie ogląda płytę nagrobną. Płyta jest uszkodzona, miejscami obita. Cement, który ściśle łączy ją z cokołem, jest wykruszony, a w szczelinach między płytą a cokołem widać wyraźne ślady podważania łomem.

Jean Tharaud jest człowiekiem wesołego usposobienia, skorym do śmiechu, nie lubi makabrycznych tajemnic, ale przy tym wszystkim nie jest też lekkomyślny. Więc dla pewności jeszcze raz ogląda grobowiec i stwierdza z całą pewnością: kamień nagrobny był poruszony.

Godzina 8.30. Sprawa jest poważna, ale dotyczy mieszkańców wyspy. Tharaud biegnie więc przede wszystkim do pani Nolleau, której nieboszczek małżonkowi asystował do ostatniej chwili przy śmierci Petaina, a obecnie jej syn prowadzi niewielki hotelik „Les Voyageurs”, który, co tu dużo mówić, jest przystanną pielgrzymów, odwiedzających grób Petaina. Od pani Nolleau telefoniuje wprost do żandarmerii.

Zandarmieria przewidują konsekwencje polityczne tego wydarzenia i działają szybko. Po obejrzeniu grobowca powiadomają natychmiast władze sądownicze i generalnego prokuratora.

Godzina 11.30. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych dowiaduje się, że grób marszałka Petaina został uszkodzony, a być może, nawet otwarty.

O godzinie 15.30, w obecności prokuratora i przedstawicieli władz sądowych, grabarz Jean Tharaud z pomocą żandarmerii odsuwa z trudem 800-kilogramową kamienną płytę nagrobną. Przedstawiciele władz pochylają się nad otwartym grobowcem: trumny nie ma... Grobowiec jest pusty!

15.45. W prezydium paryskiej policji niesłychane poruszenie. Kasjarze, złodzieje, handlarze heroiną — wszystkie idzie na bok. Mobilizuje się dziesięć sekcji policji, tworząc coś w rodzaju specjalnej brygady kryminalnej. Policja powiadamia ministerstwo, ministerstwo powiadamia rząd. Stukają teleksy, bez przerwy dzwonią telefony i radiotelefony, w powietrzu krzyżują się informacje i polecenia, podawane przez radio. Jedynym celem tego nieustannego pulsującego ruchu tysięcy ludzi jest odnalezienie trumny z prochami Petaina. Całość ak-

cji trzyma w swych rękach dyrektor policji Saulnier. Żąda natychmiastowej odpowiedzi na dwa pytania: kiedy i gdzie? Zandarmieria z wyspy Yeu działa bardzo szybko. Dowiaduje się już niebawem, że w sobotę, 17 lutego grobowiec był jeszcze nietknięty; stwierdza to bez wahania Jean Tharaud, który tego dnia przed wieczorem był przy grobie Petaina. Także w niedzielę, 18 lutego grób marszałka był nienaruszony, bowiem pewna starsza kobieta złożyła wieczorem tego dnia kwiaty na jego grobie. A zatem trumna ze szczątkami Petaina wykradziona w nocy z niedzieli na poniedziałek, z 18 na 19 lutego. To już stwierdzono na pewno.

Zandarmieria z wyspy Yeu doskonale wie, że tutaj nawet nieduży hałas niesie się nocą bardzo daleko. Idzie więc tym tropem i trafia na ślady: ślad: między 2.15 a 2.45 w nocy pewien mieszkaniec wyspy słyszał ujadanie swego psa, a później warkot silnika samochodu, jak „brzęczenie osy” — sprzecywał ściśle. Tak jakby furgonetka „Estafette”. Stwierdzono dalej, że tej właśnie nocy, około godziny 4.45 wypłynął z portu prom „La Vendée”...

W prezydium policji w Paryżu zestawiono i porównano przekazane fakty. Furgonetka „Estafette” jest wprost idealnym wozem do przetransportowania trumny... Oficerowie śledczy przymują roboczą hipotezę, że właśnie „Estafette”, „brzęcząca jak osa” uwoziła trumnę z prochami ex-marszałka... „A jeśli porywacze nie użyli proma?” — pomyślał dyrektor Saulnier i podzielił się tą wątpliwością z ekipą śledczą. Jeden z komisarzy wyraził swe obawy: „Panie dyrektorze, do przetransportowania tak solidnej trumny potrzebny jest całkiem solidny stateczek. Przynajmniej o wyporności dwóch ton. A taki nie zbliży się do lądu w każdym miejscu, potrzebuje portu i przemieszczenia pomostu do przeniesienia trumny...” Cisza.

Nagle dyrektor Saulnier: „Promem przyplynał na ląd na pewno samochód...” Zandarmieria na wyspie Yeu otrzymała rozkaz zebrania najdrobniejszych nawet informacji, dotyczących furgonetki „Estafette”, która znajdowała się na wyspie i w poniedziałek, 19 lutego o świcie, przebiegła na ląd na promie „La Vendée”. Zaalarmowano cały rejon. I oto w poniedziałek wieczorem zwrócono uwagę na piękną posiadłość „La Verrière”, znajdująca się w odległości 15 kilometrów od wyspy. W centrum posiadłości wznosił się duży pałac, nie zamieszkały w tym czasie, co jest rzeczą zrozumiałą. Ale żandarmerii zainteresował fakt, że drzwi pałacowego garażu były szeroko otwarte. Weszli tam zupełnie przypadkiem. Garaż był wprawdzie pusty, ale sprawiał wrażenie, jakby opuszczono go w wielkim pośpiechu. Właścicielem tej dużej posiadłości jest 65-letni arystokrata, Fran-

cois Olivier Marie Boux de Casson, stale zamieszkały w Paryżu. De Casson był wysokim funkcjonariuszem państwowym z czasów rządu Vichy. Od lat pięćdziesiątych przewodniczył, mniej lub więcej anonimowo, przetrzymany komitetem petainowskim, które pojawiają się jak grzyby po deszczu. Informacje te przekazał żandarmi na ulice Saussaies...

Tego samego dnia, w poniedziałek późnym wieczorem, policja odnalazła dwa ślady: pierwszy to tajemnicza furgonetka „Estafette”. Ustalono jej numer, który naprowadził na trop pewnej kobiety o nazwisku Boche, zamieszkałej w Essonne. Drugi ślad doprowadził do owego właściciela ziemskiego, który nie zamknął swego garażu. Ta noc była dla policji niezmiernie długa.

Najazutrz, we wtorek 20 lutego, sprawy toczą się już nader szybko. Po przesłuchaniu Boux de Casson policja wie już na pewno, że jest on ważnym ogniwem w tej całej sprawie, a nawet, być może, szefem tej grupy. Casson, kandydat na posła z ramienia „niezależnej prawicy” zostaje aresztowany... Jednocześnie inna grupa śledcza natrafiła na poszukiwaną furgonetkę „Estafette” i — po nitce do kłębka — odnajduje i aresztuje wspomnianą już panią Boche.

Zeznania aresztowanej Boche: „Przybyła na wyspę na weekend, pragnąc zbadać możliwości rynkowe w Port-Joinville. Była w towarzystwie swego przyjaciela, Armanda Garau oraz jego 40-letniego syna, Pierre Garau. Ten ostatni wynajął półciężarówkę „Estafette”, ponieważ jego samochód akurat się zepsuł. W niedzielę wieczorem Pierre Garau odprowadził ją na port, odjeżdżający na kontynent i powrócił do „Hotel des Voyageurs”, gdzie miał przenoćować ze swoim ojcem i dwoma nieznanymi mi mężczyznami, którzy pilnowali „Estafette” i towaru...” „Estafette”, pozostawiona na jednej z ulic paryskiej, odnalazł stróż nocny. A jeden z owych dwóch „nieznajomych mężczyzn”, 41-letni Michel Dumas, został aresztowany i od razu stał się skory do zwierzeń...

Zeznania M. Dumasa: „Po opuszczeniu wyspy grupa udala się do posiadłości Francoisa Boux de Casson, gdzie miała przeladować trumnę na inną furgonetkę i następnie udać się w kierunku Douaumont. Wymiana samochodów nie doszła jednak do skutku i grupa udala się do Paryża, gdzie rozprószyła się. W samochodzie pozostał tylko niejaki Hubert Massol, który wymienił samochód w garażu Garau — ojca i zawiózł wóz z trumną w „bezpieczne miejsce”...

Parę godzin później okazało się, iż przywódcą grupy był, dopiero co wspomniany, 36-letni Hubert Massol. Z jego aresztowaniem wiąże się inny, sensacyjny element tej bezsensownej afery. Otóż, w

środek 21 lutego przed południem, „szef”, widząc całkowicie fiasko „Operacji Douaumont”, w kawiarni „Crystal” w alei Grande-Armee, oświadczył w obecności dziennikarzy, że to właśnie on jest przywódcą grupy, która na jego polecenie porwała trumnę z prochami Petaina. Ponadto Massol oznajmił, że nie ujawni miejsca ukrycia trumny, jeśli prezydent Republiki nie zapewni na piśmie, że poleci przepisać trumnę ze szczątkami marszałka do krypty na Placu Invalidów, a stamtąd na cmentarz bohaterów w Douaumont...

Prezydent żądał Massola do wiadomości nie przyjął, a on sam został w „Crystalu” aresztowany. W środę 21 lutego, przed północą, zaprowadził policję do podziemnego parkingu w Saint-Ouen, gdzie

odnaleziono nienaruszoną trumnę z prochami ex-marszałka Philippe Petaina.

Massol nie jest ani kombatanem spod Verdun, ani nie tęskni za reżimem Vichy. A zatem skąd ten niezwykły sentyment do marszałka, który zmarł, gdy Massol miał zaledwie 14 lat? Francuscy dziennikarze tłumaczą to kultem do Petaina, zrodzonym w dzieciństwie z opowieści dwóch dziadków Massola, kombatanów I wojny światowej i uczestników bitwy pod Verdun. Może i tak.

22 lutego trumna z prochami Petaina powróciła do grobowca na cmentarzu w Port-Joinville na wyspie Yeu.

Wiele halasu o nic.

Oprac. J. CZECH

POWIĘKSZENIA

SKROMNOŚĆ KIEROWNICTWA?

Jedną z nagród za publicystykę o młodzieży ZMS-owskiej, ufundowaną przez wojewódzką instancję organizacyjną, otrzymała dziennikarka z zespołu „Ziemi Łęczyckiej” — Gizela Kenste. Jedynie w jej macierzystym piśmie nie znaleźliśmy na ten temat ani słowa.

Ano, łaska redaktorska na pstrym koniu jeździ.

FANTASTYCZNA... RECENZJA

Do niedawna skłonni byliśmy przypuszczać iż sfera fantazji została opanowana niepodzielnie przez poetów, prozatorów, dramaturgów. Z błędu wyprowadzi nas dr Joss z „Wiadomości Kutnowskich”. W numerze 2 „WK” zamieścił recenzję teatralną, w której mieliśmy okazję czytać, iż... „Don Kichot wyzwolony”... to sztuka napisana przez słynnego radzieckiego pisarza L. dyplomata, A. Lunaczarskiego, a wystawiona jako polska prapremiera przez Teatr Ziemi Łęczyckiej, w reżyserii Jana Perza. Ta sztuka w województwie łęczyckim pokazana została po raz pierwszy na scenie PDK w Kutnie, wywołując wielkie zainteresowanie gronu nad Ochnią.

Tymczasem A. Lunaczarski nie był dyplomata, a premiera „Don Kichot wyzwolony” nie odbyła się w Kutnie.

NIE W GŁOWI MISTRZOWI

W 6 numerze „Życia Literackiego” znajdujemy dwa wiersze Jarosława Iwaszkiewicza z cyklu „O psach i piakach”.

W jednym z wierszy znajdujemy zwrot: „...grzebień piór na głowie...”. Wydaje się jednak, że coś tu mistrzowi przypisało, czy raczej nie dopisało, jak trzeba. Bo choć Jarosław Iwaszkiewicz pochodził z kresów — nie w głowie mu używać w wierszach, kresowej gwary.

Lecz w następnym wierszu chyba samemu autorowi coś się pomylilo, gdy użył w motcie zwrotu: „...ogień krennie, blask truchleje...”. A nas dawno uczono, że „blask krennie, blask truchleje...”.

NIE TEN PROFESOR

„Głos Robotniczy” poinformował nas, że klub ZL LK zabrała na odczyt prof. J. Trzynadlewskiego (z Wrocławia), na temat noweli M. Konopnickiej pt. „O naszej szkapie”.

A nam się wydawało, że człowiek od wielu lat związany z Łodzią i cieszący się uznaniem, nazywa się Jan Trzynadlewski.

SZCZERY... WYNAŁAZCA

Nikt nie dokonał dotychczas tak wielkopomnych odkryć, jak Konrad Frejdlich w 7 numerze „Odgłosów” stwierdzając, iż Mikołaj Kopernik „ten zdyscyplinowany kapłan i szczerzy wynalazca wiary chrześcijańskiej, zadał największy w historii cios autorytetowi kościoła, obalając system Ptolemeusza, który był kamieniem probierczym prawomocności katolickiej”.

Po tym największym w historii ciosie z gmachu naszej dotychczasowej wiedzy o Mikołaju Koperniku nie pozostał kamień na kamieniu...

Pod redakcją: ZBIGNIEWA KOPALCZYKA

GDY PROFESOROWIE SIĘ NUDZĄ...

„Pewnego razu był sobie profesor filologii mediawnej, który się nudził” — tak zaczyna omówienie książki Tolkiena recenzent paryskiego tygodnika „L'Express”.

Czemu ów profesor się nudził i co z tego wynikało? Nudził się, ponieważ uznał, że znalazł za mało legend na ziemi angielskiej. Zdecydował się więc, inspirowany przez baśnie Północy, że brak ten uzupełni. Postanowił, że napisze bajeczną historię o nieistniejącym społeczeństwie. Wynalazł nazwę dla wymyślonych przez siebie istot: hobbitów. Najprawdopodobniej jest to zbiórka słów: hobby i rabbit (królik). Tak w wyobraźni szacownego profesora oksfordzkiego i znakomitego uczonego, pojawili się Hobbiti, mały ludzek podobny do naszych krasnali. Były to istoty dobronliwe i pokojowo usposobione, żyjące po prostu i będące za pan brat z dobrymi stwórcami bajek, mitów i legend, elfami i skrzakami, nienawidzące zaś innych, złośliwych stworów takich jak trolle z germańskiej mitologii. Ażeby było jeszcze

dziwniej, dwaj bohaterowie profesorskiej opowieści, Bilbo i Frodo chcą pozbyć się czarodziejskiego pierścienia. A jest to dla nich sprawa bardzo trudna. Wokół tych właśnie starcia i zabiegów osnuta jest akcja książki.

Profesor John Ronald Reuel Tolkien urodził się w Birmingham w styczniu 1892 roku. W latach 1920—1935 wykładał na uniwersytetach w Oksfordzie i Glasgow. Doktor honoris causa uniwersytetów w Exeter (Anglia) i Liège (Belgia). Tolkien jest autorem traktatów o Geoffreyu Chaucer, najwybitniejszym reprezentancie poezji późnego średniowiecza w Anglii, rozpraw o średniowiecznych opowieściach i legendach m. in. o Rycerzach Okrągłego Stołu.

Profesor Tolkien wydał po raz pierwszy książkę o swych zmyślonych Hobbitach w roku 1934. Dziełko zdobywa sobie pewne uznanie, po kilkunastu latach zostaje jednak całkowicie zapomniane. Ale profesor nie zapomniał o swych ludzikach. Hobbiti stają się

nie tylko istnym hobby uczonego, ale wprost jego obsesją. W latach 1936—1949, a więc przez trzynaście lat profesor J. R. R. Tolkien pracuje nadal nad opowieścią o swych ludzikach, które na widok Dużych Ludzi, jak ich nazywają, uciekają w myślą norckę. Tolkien stworzył Hobbitom historię, obdarzył ich bogactwem obyczajów, wymyślił im język i jego zasady gramatyczne i składniowe, określił dane geograficzne, gdzie ów ludzek żyje, słowem — napisał całą obszerną, bo liczącą dwa tysiące stron, trylogię, monografię o nieistniejących ludzikach.

W roku 1950 praca profesora ukazała się w Anglii drukiem. Książka oceniona została tak przez krytykę jak i czytelników jako nudnawa i męcząca w czytaniu. Tolkien napisał — jak wówczas mówiono — Iliadę ale bez walk, Odyseję ale bez miłości, Nibelungów, ale bez pasji. Przegadana, źle skomponowana, przeladowana stereotypowymi, nieciekawymi postaciami, opowieść profesora nie znalazła szerszego uznania i

wydawało się, że pamięć o niej przetrwa bardzo krótko.

I oto nagle w roku 1965 książka profesora Tolkiena o Hobbitach nabiera olbrzymiego rozgłosu w Ameryce. Czytają ją głównie studenci, ale nie tylko oni. Studenci stwierdzają, że dla poznania pojęć, obyczajów, mentalności ludzi średniowiecza książka Tolkiena jest znakomitym wprowadzeniem. Ale na tym nie koniec. Książka zaczyna zdobywać sobie coraz to szerszy krąg czytelników, zdobywa swych zagorzałych wielbicieli, powstaje swolity kult owego dzieła, tworzą się specjalne kluby, gdzie dyskutuje się opowieść Tolkiena. On sam zaś w osiemdziesiątym pierwszym roku życia staje się sławny, czczony, czytany. Książka została przetłumaczona ostatnio na język francuski. Ukazał się w Paryżu tom pierwszy pt. „Braterstwo pierścienia”, całość zaś owej trylogii ma tytuł: „Władca pierścieni”.

Czym się tłumaczy tak żywe i niespodziewane powodzenie książki Tolkiena? Częściowo przynajmniej da się ono wytłumaczyć tym, że w ostatnich latach w krajach anglosaskich obserwuje się wzmożone zainteresowanie literaturą fantastyczno-naukową i jej specyficznym rodzajem, w którym spotykamy swolite przemieszanie się zja-

wisk naturalnych z bajkowymi np. czarodziejstwami.

Kiedy mówimy o profesorze Tolkienie, wykładowcy w Oksfordzie i jego Hobbitach przypomina się nam inny profesor, również wykładowca tegoż samego uniwersytetu oksfordzkiego. To starszy od Tolkiena o lat sześćdziesiąt, oddawna już nie żyjący, Charles Lutwidge Dodgson. Znacomity matematyk napisał kilka uczonych traktatów. Nie przypuszczał zapewne, że sławę przyniosą mu nie rozprawy naukowe o Euklidzie, ale mała książeczka pisana w chwilach nudy, dla małej Alicji Pleasance Liddell: „Przygody Alicji w Krainie Czarów” (ukazała się niedawno u nas, podobnie jak „O tym, co Alicja widziała po drugiej stronie Lustra” w tłumaczeniu Macieja Słomczyńskiego, nakładem „Czytelnika”). Obie książki wydane pod pseudonimem Lewis Carroll weszły na trwałe do literatury światowej.

„Minęło wiele dziesiątków lat od chwili ukazania się „Przygód Alicji” w druku — pisze we wstępie Maciej Słomczyński — nim zaczęto rozumieć, że jest to nie tylko wspaniała bajka dla dzieci, ale także arcydzieło opisu działalności ludzkiej podświadomości”.

Jest to zapewne jedyny wypadek w dziejach piśmiennictwa, gdzie jeden tekst zawiera dwie zupełnie różne książki: jedną dla dzieci i drugą dla bardzo dorosłych. Uczony matematyk i szanowany profesor z Oksfordu Dodgson, bawiąc się słowami, dając upust swojej wyobraźni, stosując intelektualny absurd stworzył dzieło literackie, które następnie inspirowało m. in. twórczość Joyce'a oraz dało początek t.zw. teatrowi absurdu. Okazuje się więc, że absurd może być bramą do zaczarowanego świata — jak to mimochodem zauważa recenzent z „L'Expressu”.

Alicję w krainie czarów Carroll obdarzył sporą dozą trzeźwości i logicznego myślenia, podczas gdy jego twory fantazji zachowują się absurdalnie jak na takie właśnie twory przystało. Przeciwnie, ludzki Tolkiena są jak najbardziej rozsądne, stateczne i poczciwe. Zdradzają wyraźną awersję do wszystkiego, co jest rodem z bajki lub mitu i są — jak się zdaje — o wiele rozsądniejsze od tych istot przed którymi w popołudniu uciekają, a których nazywają Dużymi Ludźmi.

JANUSZ SKOSZKIEWICZ

PRZECZŁOŚĆ
terazniejszość

POŚREDNICTWO NAUKOWE

Dyskutujemy nad nowatorską książką Marii Wawrykowej „Między pierwszą a drugą Rzeszą” (PZWS, 1972), pierwszym bodaj w naszym piśmiennictwie historycznym poważnym, nowoczesnym ujęciem dziejów Niemiec od rozwiązania Cesarstwa Rzymskiego Narodu Niemieckiego do proklamowania Rzeszy prusko-niemieckiej po wojnie francusko-pruskiej. Dyskusja jest w pełnym toku, ale coraz silniej na plan pierwszy wysuwa się wątek w stosunku do niemieckiego tematu uboczny, mianowicie sprawa kształtu piśmiennictwa historycznego dla szerokiego kręgu odbiorców. Okazuje się, że Wydawnictwo, nim ogłosiło tę książkę, miało z nią sporo kłopotów, naraziło się nawet na jakieś przykrości,

jako że dzieło — aczkolwiek w pełni komunikatywne — ktoś określił jako naukowe, a ta oficyna nie jest ponoć do tego, aby publikować tego rodzaju prace, ma natomiast najwyższe przyzwolenie na wszystko, co zowie się popularno-naukowe czy naukowo-popularne.

Nie dziwię się autorce, że nie chciała wyprzeć się naukowego charakteru swej pracy, stanowiącej wynik poważnych badań, nie dziwię się redakcji, że zabiegała o jej publikację, pewnie nawet nie przypuszczając, ile przysporzy sobie laurów. Książka ta została bowiem przyjęta z ogromnym zainteresowaniem w świecie, zwłaszcza po drugiej stronie Laby, jako wyraz nowego w stosunkach polsko-niemieckich, spotkała się z żywym aplauzem w kołach UNESCO, słowem zaczęła funkcjonować na arenie międzynarodowej w wymia-

rze politycznym. Ale zastanawiamy się: gdyby nie złamanie, a przynajmniej naruszenie odgórnych schematycznych klasyfikacji, tego wszystkiego by nie było! Nie byłoby książki, nie byłoby sukcesu, ale przedtem nie byłoby i kłopotów.

I tu wylania się problem ogólniejszy. Czy sztywne klasyfikacje wydawnicze nie stają się zbyt często sankcją dla absurdu? Szeroka w rozmiarze i intensywności akcja popularyzacji nauki prowadzona od dawna w naszym kraju stworzyła za potrzebowanie na wiele publikacji, które ohrzczone mianem popularno-naukowych i jest to zjawisko społecznie korzystne. Ale jednocześnie na jego marginesie, i to wcale szerokim, powstało zjawisko inne, które w moim przekonaniu należałoby ocenić zgola odmiennie. Wytworzył się bowiem typ autora utworów t.z. popularno-naukowych, mianowicie takiego, który z zadziwiającą zrecznością z trzech dzieł, napisanych przez specjalistów, potrafi spisać czwarte, tym razem swoje, choć nie ma w nim ani jednej jego własnej myśli, niby popularno-naukowe, w istocie kompilacyjne i rzadko kiedy cokolwiek warte. Dziedzina historii — na której jak wiadomo zna się każdy i każdy feruje wyroki z pretensjami do nieomyślności — okazała się tu szczególnie wdzięcznym polem do działania. W imię pięknych popularyzacyjnych celów wydawnictwa poczęły spryskiwać takim jęzorem (i panion), a formalne bariery zbudowane w obronie komunikatywności upowszechnianych treści poczęły chronić tego rodzaju „popu-

laryzatorów”, przed zagrożeniem ze strony rzeczywistych specjalistów, nawet tych, którzy potrafią pisać jasno i zrozumiale. Podobnie jak w handlu, także i w różnych dziedzinach nauki zeruje u nas pośrednik, który nieraz zyskał sobie wysoką rangę, któremu Wydawnictwo często klaniają się w pas, który przy minimum wysiłku osiąga maksimum korzyści. Dla siebie.

Jeżeli narzekamy na braki naszego piśmiennictwa popularno-naukowego, pamiętajmy, że jest ono zbyt często plodem pośredników — niedouczków. Funkcjonowaniu pośredników towarzyszy upowszechniana z zapalem godnym lepszej sprawy legenda o tym, że naukowcy nie umieją pisać. Prawda, że są i tacy, ale można wylczyć setki uczonych choćby tylko polskich, z różnych dziedzin wiedzy, którzy pisać umieli i umieją, ba, którzy mają znaczne osiągnięcia na polu popularyzacji nauki. I nie jest przypadkiem, że właśnie na nich opierają się wydawcy w licznych krajach. Wszystkim wiadomo, że w krajach zachodnich wiele wybitnych a komunikatywnych dzieł naukowych ukazuje się w formie tzw. książek kieszonkowych, nieraz znacznie więcej, niż wątpliwej jakości publikacji naukowych pośredników. Tworzy się nawet specjalne serie kieszonkowych książek naukowych, które drukuje się w ogromnych nakładach. Nasza baza poligraficzna jak dotąd nie pozwalała na tego rodzaju przedsięwzięcia, ale pierwsze kroki już poczyniono. Przykładem Biblioteka Myśli Współczesnej PIW. Antyprzykładem — książka J. Ger-

ANDRZEJ GRUN

FRYZURY



arda, o generale Ch. de Gaulle, wydana w formie kieszonkowej, za to w albumowej wręcz cenie przez... (to najzabawniejsze) KiW. Tradycyjnie już dobrą popularyzację uprawia w trady-

cyjny jednak sposób Wiedza Powszechna. A inne wydawnictwa? Bardzo, bardzo różnie to bywa.

LEKTOR

Zdarzeni A. I. Zwierzeni A.

BADZIAK Z ŻYCIA WYJĘTY

Oczywiście tytuł tego felietonu jest balamutny. Karola Badziaka, a ściślej jego felietonistyki, z życia wyjąć nie można. Badziak tkwi w życiu i jego książeczka jest na to koronnym dowodem. Powyższa opinia nie ma, rzecz prosta, większej wartości jako komplement, bowiem wiadomo, że każda prawdziwa literatura faktu

tkwi w życiu. Badziak jako reporter i felietonista spełnia tylko ów podstawowy warunek literatury faktu.

Ktoś niedawno napisał, że Karol Badziak swobodnie wędruje po tematach i właściwie w każdej dziedzinie ma coś do powiedzenia. To prawda, ale nie cała. Bo wiem to, co nam mówi Badziak, jest bardzo często w

swej warstwie faktograficznej, dosłownej — absolutnie nie do przyjęcia. Wypowiada często sądy „na oko”, kiedy na przykład pisze, że filmy o miłości cieszą się mniejszym powodzeniem niż filmy o wojnie. Ba, często pagina fakty do założonej tezy felietonu. Oświadcza bez zmużenia powiek, że o powieści o Brigitte Bardot są atrakcyjniejsze od „Opowieści biblijnych”. I tak dalej i tak dalej.

Co to znaczy? Ze Badziak chce zrobić z Czytelnika balona? Ze go buja? Otóż nie! To byłoby za proste.

Badziak jest bardziej perfidny. Te wszystkie uproszczenia i retusze faktów służą mu do innego celu. Mianowicie do bombardowania odbiorcy poglądami na tyle powszechnymi i popularnymi, aby odbiorca odniósł wrażenie, że to pisze „swoją” człowieka. Taki, co to uważa, że od prozy psychologicznej Dostojewskiego bardziej wiarygodny jest psy-

chiatra, taki, co to bardziej się pasjonuje żywotem aktoreczki niż literaturą popularno-naukową, wreszcie taki, który lubi tylko filmy, na których strzelają i w ogóle — panie dzieju — sama wojna...

Kiedy się już czytelnik zapije na ów haczyk „swojactwa”, wówczas Badziak niepostrzeżenie serwuje mu parę prawd wcale niegłupich, nie zawsze popularnych, ale na pewno wartych przypomnienia i przyjęcia.

Publicystyczne działanie Karola Badziaka ma charakter dwupiętrowy. Na parterze strumień kalamburów, paradoksów, żarcików, anegdot... Śmiejemy się do rozpuku z tej żonglerki słownej, którą Badziak opanował znakomicie. Wchodzimy więc w tekst bez oporu.

Na pierwszym piętrze wszakże coś się zmienia. Zza tych żartów zaczynają nam wycierać jakieś poważniejsze sprawy. A już na drugim piętrze Badziak zu-

pełnie poważnie. Kończy się kokieteria, przekora i zabawa — zaczynają się schody. W dół. Z drugiego piętra, patrzymy na ten świat wcale nie taki zabawny, wcale nie taki komediowy — zwłaszcza, że jest to nasz świat. Badziak i jego Czytelników.

Oczywiście, gdyby Badziakowi odjąć jego umiejętność kpiny, dowcip i żart, paradoks i przekorę — miałibyśmy książkę o sprawach dość smutnych. Któż by chciał czytać taką książkę? Któż by chciał czytać takie felietony?

Więc Badziak nas wszystkich po prostu nabiera — mówiąc dosadnie — bierze nas na lep żarcików i anegdotek, aby potem huknąć w łeb, albo zrzucić ze schodów w sam wir życia, które ma poważne problemy.

Ten felieton — jak sądzę — dobrze przysłuży się sprawie zdemaskowania Karola Badziaka, jako tego, który od lat podstępnie zdo-

bywa zaufanie czytelnika. Kokietuje go błyskotliwym stylem, żartem, dowcipem... Inni się męczą, aby swoimi słowami opowiedzieć czytelnikowi treści zawarte w referatach, a Karol Badziak te same poważne i ważne treści opakowuje w świecidełka i błyszczący celofan.

Są dwie szkoły. Pierwsza (stara, jednoklasowa) skłania się do poglądu, że ważne i poważne treści deprecjonuje dobre, atrakcyjne i nowoczesne opakowanie. Druga (zwana realną) głosi pogląd, że poważnym treściom nie tak dobrze nie robi, jak właśnie wesołe, barwne opakowanie. Badziak kończył ową realną szkołę.

I tak oto ten pyskаты prześmiewca i impertyent z zimną krwią wciąga podstępnie czytelnika w poważne refleksje i daje mu do myślenia rzeczy serio.

WIDOK

LEWYM OKIEM!

JAK PODZIUBAĆ LODÓWKĘ

Jeszcze niedawno temu właściciel statku handlowego czy też towarzystwo okrętowe, dysponujące wieloma statkami, plajtowali, jeżeli pech sprawił, że jakiś ładunek cudzych, przewożonych towarów poszedł z takich czy innych przyczyn na dno. Później zaczęły się za nich martwić towarzystwa ubezpieczeniowe, same z kolei ubezpieczone w innych towarzystwach, tamte znowu w innych i tak aż do całkiem

abstrakcyjnych, anonimowych przesunięć wielocyfrowych liczb na giełdach świata.

Teraz istnieją po świecie spółki, bogacące się na tym, że ze swych statków spuszczają powierzony im towar na dno morza. Mianowicie statki te wywożą stale, w trybie abonamentu, jak za telewizor — odpadki z wielkich zakładów chemicznych. Są takie różne świństwa, których do rzeki spuścić ani do ziemi zakopać nie idzie, bo zatrują cały powiat.

Statek-śmieciarz, wyposażony w potężne żurawie, w różne mieszadła, młyny i zsypy, wsysa z podjeżdżających do mola cystern nieapetyczną zawartość, odpływa poza wody terytorialne, na obszary nie pilnowane (zgodnie z międzynarodową konwencją i wieloletnią tradycją) przez nikogo i tam zatruwa całe kilometry wód. Delfiny i wieloryby wypływają brzuchami do góry, akcjonariusze liczą kupony, a zakłady chemiczne w niezmałonej atmosferze robią swoje.

Zresztą — to wielki i daleki byznes. Mamy własne smartwienia podobnej natury, choćby zwyczajne świecówki, czyli rurki świecące po domach i fabrykach. Jest w nich rtęć i coś tam jeszcze, czego lepiej do zup nie dodawać. A rurki się przepalają i coś z nimi trzeba zrobić. W domu to tam mało kto ma coś takiego, a

jeśli ma, to wrzuci zużytą rurkę do pojemnika razem z obierzynami i makulaturą — i z głowy. Gorzej w dużych zakładach, gdzie świecówek są tysiące. Co robić z zużytymi?

Na razie nie robi się nic. Ponieważ zakłady oczyszczania odmówiły zbierania jarzeniowych rurek, magazynier składa je na kupkę, komisje inwentaryzacyjne liczą te kupki co rok, wyceniają, księgują, zapisują. Kupki rosną w duże stosy, ale przecież nie stanowią wyjątku: jest wiele różnych rodzajów odpadków w przemysle, których nikt nie chce kupić i nikt nie ma odwagi zniszczyć, nie mówiąc o tym, że nie zawsze jest po temu realna możliwość. Zbiera się i już, przynajmniej inspektorzy kontroli mają co kontrolować.

Ale fabrycznymi jarzeniówkami też nie martwimy się na co dzień. Sprawa w

innej skali. Co jednak zrobić, kiedy na przykład zepsuła się na amen duża pralka i kupujemy sobie nową? Albo zapadły się sprężyny w tapczanie i już go mamy dosyć i kupujemy gruby plaster gumy z importu do położenia na podłodze w charakterze legowiska? Jak pozbyć się tapczanu i pralki? Co zrobić z ogromnym kredensem stoczonym przez korniki? Spalić w centralnym ogrzewaniu ani w elektrycznej kuchni nie można, wynieść na trawnik przed blokiem — też nie. Znam przypadek, kiedy komitet domowy polecił zabrać wyrzuconą lodówkę z powrotem do mieszkania posiadacza na jego koszt, oczywiście. Pewnie jeszcze u niego stoi. Znam też pana domu, który całą przedwojenną „sypialkę” ze złotej brzozy podziubił pracowicie na małe drewniaka w ramach niedzielnego hob-

by, a potem wieczorami wynosił te drewniaka i przerzucał nielegalnie przez płoty na tereny niezabudowane. Teraz martwi się, co będzie, gdy zechce się pozbyć swych dzisiejszych, modnych, ale wściekle niewygodnych mebli „wypoczynkowych”: są z plastyku, blachy i laminatów, nie dadzą się podziubać...

W naszej piwnicy stoi już siedem kucharek gazowowęglowych, trzy rowery bez kół i bez dzwonek, dwa blaty od rodzinnych dwunastoosobowych stołów, kilka niemowlęcych wanierek i piękne dębowe biurko. Jeszcze starczy miejsca na jakieś cztery pięć lat. Później uchwalimy na posiedzeniu komitetu blokowego, żeby każdy zabrał co jego, ale kto wtedy dojdzie, czyje te rzeczy były? Sam się też nie przyznam.

ĆWIEK